

PAMIĘTNIKI

JÓZEFA WYBICKIEGO

**Senatora Wojewody królestwa
polskiego**

WYDANE Z RĘKOPISMU

przez

Edwarda Raczyńskiego.

•••
TOM PIERWSZY.

•••
POZNAŃ

w drukarni Walentego Stefańskiego.

1840.



W woluminie kolejno współprawne sygnatury:

140960 I /3

140960 I /4

BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU



140960

Wypożycza się
tylko do czytelní

3148



OPRAĆ

POWIAKOW : POLSKI

W XVII. WIEKU

1771

WYDZIAŁ HISTORII I STAROŻYTNOSTI
KRAJOWEJ
W WARSZAWIE
WYDZIAŁ HISTORII I STAROŻYTNOSTI
KRAJOWEJ
W WARSZAWIE

1771

DO WYDAWANIA STAN POLSKI

W WIEKU WSPÓŁCZESNYM

WYDZIAŁ HISTORII I STAROŻYTNOSTI

1771

Wydawnictwo Państwowe

1771

TOM CZWARTY

1771

1771

Wydawnictwo Państwowe

1771

OBRAZ
POLAKÓW i POLSKI
w XVIII. WIEKU

czyli

ZBIÓR PAMIĘTNIKÓW, DYARYUSZÓW, KORRE-
SPONDENCYJ PUBLICZNYCH i LISTÓW PRYWA-
TNYCH, PODRÓŻY i OPISÓW ZDARZEŃ
SZCZEGÓŁOWYCH,

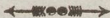
służących

DO WYJASNIENIA STANU POLSKI
W WIEKU WSPOMNIONYM,

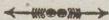
WYDANY Z REKOPISMÓW

przez

Edwarda Raczyńskiego.



TOM CZWARTY.



POZNAŃ

w księgarni i drukarni Walentego Stefańskiego.

1840.

PAMIĘTNIKI

JÓZEFA WYBICKIEGO

Senatora Wojewody królestwa
polskiego

WYDANE Z RĘKOPISMU

przez

Edwarda Raczyńskiego.



TOM PIERWSZY.



POZNAŃ

w drukarni Walentego Stefańskiego.

1840.

PAMLET TWIRL

JOHN W. WYBICKI

Secretary of the Board of
Education

WYBICKI

140960.7/4

Number of Copies

FOR REVIEW

WV 1936/7 1154

UWIADOMIENIE.



W dalszym ciągu zbioru mego pod tytułem:

Obraz Polaków i Polski w XVIII. wieku

wydaję obecnie „Pamiętniki Józefa Wybickiego.“ Współczesni tego czci-
godnego męża, ci, co świadkami byli
jego towarzyskiego i politycznego życia,
poznają w tém dziele prawidła, któremi
się rządził. Pamiętniki te wychodzą z dru-
ku za upoważnieniem i pod okiem syna
autora, wielmożnego Józefa Wybickiego.

E. R.

WIADOMIENIE



W balachy cieży słońca wago pod ty-
lucem :

Opisanie Kółek i Kółek

w XVII wieku

wybieg opisanie „Pamiętniki Józefa
Wydzickiego”. Wpółnocni tego cze-
godnego męża, ci, co swiadkami byli
tego towarzyskiego i politycznego życia,
poznają w tym dziele prawdę, ktorą
się rzęchali. Pamiętniki to wychodzą z dru-
ka na upomnienie i pod okiem spon-
satora, wielmożnego Józefa Wydzickiego.

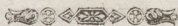
M. M.

W S T Ę P.



Urodziłem się w czasie zarodu okropnych nieszczęść dla Polski, ojczyzny mojej. Nieszczęśliwa gwiazda, roznosząc już wtenczas po całym kraju ciągle burze i klęski od kolebki, mnie aż do siwego prześladowała włosu. — W pierwszej zaraz młodości postawiony z odwiecznych przeznaczeń w kolei politycznej, miotany w niej byłem ciągle nieszczęśliwemi przygody, aż też rok 1794. zupełnie mnie z łona ojczyzny wytrącił i na lat wiele na wygnanie wskazał. Odlączony w ten sposób od ukochanej mojej rodziny, gdy przez zawieszono nad krajem czarne chmury żaden mi się nadziei promyk nie przebijał, gdym dzień każdy za dzień ostatni poczytywał; uzbroiwszy się rezygnacją i cierpliwością, postanowiłem zostawić mym dzieciom za całą puściznę historią mego życia, aby

te z czasem nie myślały, żem za jaką istotną zbrodnię zasłużył na śmierć i wygnanie. W tém przedsięwzięciu zbierałem różnemi czasy, a szczególnie 1801. r. w Paryżu, życia mego wypadki; gdy przecież później coraz nowych, a nigdy nieprzejranych zmian kraj mój doznawać zaczął, a w tych i moje osobiste losy się zmieniały; postanowiłem dopiero w r. 1817. me dzieło dokończyć, łącząc do niego różne wypadki polityczne, których byłem świadkiem, a szczególnie uczestnikiem.



ROZDZIAŁ I.



Wychowanie autora w szko- łach i palestrze.

Urodziłem się roku 1747. dnia 29. Września we wsi dziedzicznej Bendoronie w województwie pomorskiem, 5 mil od Gdańska leżacój. Ojciec mój był Piotr Wybicki, sądowy ziemski mirachowski, a matka Konstancya z Lnińskich, córka Lnińskiego, sędziego mirachowskiego, dziedzica dóbr Brodnica pod Gdańskiem. Rodzina nasza ciągle osiadła i mieszkała na Pomorzu; bo gdy za Zygmunta Augusta niejaki Wyben, wojskowy z Daniï, wszedł był w służbę polską, otrzymał za dzieła swoje wojenne i indygenat

i dobra na Pomorzu, za daną mu zaletą od Firleja, wojewody pomorskiego.

Z czasem przodkowie moi, idąc za przykładem w Polsce, aby się nazwisko na *ki* kończyło, przemienili Wyben na Wybicki. a)

a) Plemie Wybena, około roku 1549. w Polsce osiadłego, nierozrodziło się bardzo. Zawsze dwóch, trzech najwięcej było braci. Ród nasz nigdy nie był bardzo bogaty. Tomasz Wybicki, pełen ludzkości, w niebytności ojca Michała, starosty tucholskiego, na wolność wypuścił różnych więźniów, podobno za niewypłacone daniny w zamku tucholskim więzionych. Ojciec, za powrotem, znać serca twardego, chciał ścigać zemstą syna. Ten, ukrywając się, tułał się po świecie. Nieubłagany ojciec, w źle ułożony sposób, chcąc ukarać dziecko, stracił cały swój majątek. Zawinił Tomasz, że mimo woli ojca postąpił, ale mu należało darować, jako bliźniemu ludzi, których los nieszczęśliwy go dotykał. Ja kocham mojego przodka, bo nierozumiem, aby był złym synem, kiedy był przyjacielem ludzkości. Tomasz, po roztrwonionym przez ojca majątku, doszedł jednak z czasem dóbr Sikorzyna, również pod Gdańskiem leżących.

Nie będę wyliczał następców jego; dość, że te dobra w dziedzictwie doszły do mego dziada Jana,

W roku szóstym życia mego wzięty już byłem z domu rodziców przez księdza Archidyakona Franciszka Wybickiego, stryja mego, na edukacyą, który mnie oddał w ręce Wikariuszów, przy probostwie skarzewskim będących. Jeżeli pierwiastkowa moja

który zostawił czterech synów: Piotra, mojego ojca, Franciszka, Jana i Macieja. Franciszek umarł archidyakonem pomorskim, proboszczem szkarzewskim; Maciej sądownym ziemskim mirachowskim; Jan w młodym jeszcze wieku instygatorem grodowym pomorskim. Archidyakon ksiądz Franciszek zostawił nam dość znaczny majątek. Po Macieju było dwóch synów, Jan i Jakób, wówczas bezżennych, gdym ojczysty kraj porzucił, i jedna córka Maryanna, która była poszła za Pruszaka, brata Pruszaka, kasztelana gdańskiego. Po Janie był syn Jakób, dziedzic wsi Liniewka i Łukocina, który ożenił się z Czapską i osiadł w wojewodztwie chełmińskim, w ziemi michałowskiej, czyli też w dobrzyńskiej. Ja miałem jednego tylko brata, Joachima, kanonika kujawskiego, pełnego pobożności kapłana, i cztery siostry: najstarsza Konstancya poszła za Owidzkiego, którego syn dziś osiadł w lubelskim, i na dobrego i światłego obywatela zasłużył imię. Druga poszła za Lewińskiego, trzecia za Lyśniewskiego, officera pruskiego; wcale go nie-

edukacya chybioną została, nie było to winą ani ojca, ani stryja, ale winą czasów, w których się urodziłem. Lata mego urodzenia były latami ciemności publicznej, którą ostatnie panowanie Augusta III. Polskę okryło. Prawda,

znam. Czwartą, Brygitta, była zakonnicą w klasztorze Norbertanek w Krakowie. Był jeszcze jeden Wybicki, w województwie malborskiem, pisarz grodzki tego województwa, brat stryjeczny mego ojca, ale niewiem, czy jakie zostawił potomstwo. Zona jego była Orzelska. Z matki miałem czterech wujów, Lnińskich: Ignacy kanonik kujawski; Jakób, dziedzic Brodnicy; Antoni, sędzia ziemski mirachowski, i Michał obywatel pełen cnoty i światła, w konfederacyi barskiej był marszałkiem pomorskim; dawniej kilkakrotnie na sejmy poseł, uważany był jako światło przewodnicze w obradach. Z synów jego, ile wiem, jeden, Józef, co był w służbie bawarskiej, miał osieć w zakroczymskiem; Onufry Paweł w Galicyi. Odleglejsze krwi związki łączą nas z Grabczewskimi, Jezierskimi, Gocartowskimi, Lipińskimi, Powalskimi i. t. d., zgoła w województwie pomorskiem prawie wszystkie domy były spokrewnione z sobą. Przyczyną tego była mała liczba familij szlacheckich; największa bowiem część województwa złożona była z starostw niezmiernie intratnych, opactw i klasztorów.

że rok mego urodzenia stanowi epokę w literaturze ojczyściej, gdyż w nim nieśmiertelni Zaluscy, biskup krakowski i referendarz koronny^o; bibliotekę publiczną w Warszawie założyli, ale to nie były owe wieki Zygmunta, aby tak ważne ustanowienie ocenić i korzystać z niego umiał Polak. Polacy w tym wieku zupełnie zdziecinniali byli. Nie mieli swego języka, nie umieli mówić, jak ich przodkowie: Kochanowscy, Skargowie, Orzechowscy; utworzyli sobie jakiś belkot barbarzyński, złaciny i polszczyzny złożony, do którego my jeszcze Pomorzanie dodali słowa Kaszubów i Wendów. Literatura, sztuki i kunszt wolne różnemi umiejętnościami, z którymi już prawie cała Europa oswojona była, dla nas zupełnie obcemi były: nasi Augustowie zatracili dla nas wszystko!

Jezuici, w innych krajach oświeceni, u nas w grubój niewiadomości, bałwochwalcami tylko dzikiego Alvaru

zostali, obciążając nasze głowy tą niezrozumiałą tajemnicą łaciny; myśleć nie uczono, nawet zakazywano. Ale jakżeż mogło być inaczej, kiedy opieka rządu nie rozciągała się bynajmniej do edukacji publicznej!

Poruczona zupełnie była Jezuitom, a od tych, jeszcze ciemniejszym tak nazwanym dyrektorom, w których dzikie i tyrańskie ręce wpadliśmy. U nich żywość dowcipu, ciekawość, łatwe pojęcie, te najdroższe dary natury, były przywarą; trzeba było być koniecznie zimnym, ponurym, milczącym, i, jak zwykle mnichy, aż do podłości pokornym. Nie dawano duszy pokarmu, a nawet i ciała. Barbarzyńcy! chcieli mieć z młodzieży cienie i mary, z ludzi wolnych zwierzęta w jarzmie, z obywateli, przeznaczonych do służenia ojczyźnie orężem i radą, nieczule i ciemne utwory.

Oni to rzucili nasienie zguby naszej

politycznej, które nam wydało owoc hańby i niedoli.

Pod taką więc nieszczęśliwą gwiazdą moję zacząłem edukacyą. Żywłość moja wrodzona, była podobno przykrą rodzeństwu w domu, a gdy, jakem wyżej wspomniał, lat sześć mając, dostałem się w ręce księdza Wikariusza, niby to nauczyciela; w moment na mnie pokuty, za moją żywłość wkładał. Pojęcie dobre i pamięć, którą mnie natura uposażyła, czyniła mi łatwemi początkowe nauki. W dwa lata umiałem dobrze czytać i pisać, i początki łaciny pojąłem, czyli spamiętałem. Ksiądz stryj i mój ojciec osądzili mnie więc godnym szkół jezuickich, które były na Szotlandzie w Gdańsku i do nich mnie w ósmym roku oddali

Nie będę opisywał toku edukacyi w niższych klassach; był taki sam, jakem wyżej wspomniał: kazano się zawsze pod odmiennemi nazwiskami

złej uczyć łaciny, bez żadnej korzyści. Myśleć nie kazano. Chwalono bojaźliwość, podłość, zdętwiałość, gdy przeciwnie wrodzonej otwartości, szlachetnej śmiałości, żywości dowcipu, zasłonić często nie mogły najlepsze w naukach postępy od chłosty i poniżenia. Zgoła, codzien bito, codzien słyszałem jęk, prośby uczniów; tyranstwo nauczycieli było zwykłym tej szkoły obrazem. Czyż mogła się tam moralność i piękne uczucia, to największe dobro człowieka, w sercach niewinnych zawiązać? Odwracam od tego przykrego przedmiotu oko i serce, które dotąd jeszcze nad tém ubolewa; powiem tylko, że w dwunastym roku mego życia skończył klasę poezyi i otrzymał promocyą do retoryki.

Na niejaki czas przerwała mi nauki śmierć mego ojca, który paraliżem tknięty, mnie w dwunastym roku osierocił. Niech na to wspomnienie pro-

chom jego złożę ofiarę méj niewygasłej synowskiej miłości. Mąż wier-ny, ojciec dobry, sędzia sprawiedliwy, gospodarz rządny, sąsiad spokojny, przyjaciel stały, w sześćdziesiątym drugim roku życia swego z tym się pożegnał światem. Ja od niego szczegó-łnie byłem kochany; miło mi jest sobie przypominać, jak w tém życiu patryarchalném używał mnie często do swych gospodarskich zatrudnień. Nie był bez nauk, jakie te czasy dać mogły, dość piękną bibliotekę pozostawił, ściągającą się do jego urzędu. Miałem różne jego pisma, ale i te w nieszczęściach moich utraciłem. (a)

a) Najbardziej żałuję utraconego rękopismu, w którym on niewolę swoją pod Gdańskiem w czasie jego oblężenia opisał. Gdy Stanisław Leszczyński r. 1733. po raz drugi królem Pol-skim obrany został, August III. swoim własném i rossyjskiem wojskiem wsparty, tę wolną elek-cyą Polski zniszczył, Leszczyński do Gdań-ska musiał się schronić. Przyjęło go to miasto jako swego pana, a za jego przykładem woje-wództwo pomorskie, chełmińskie, malborskie, zgoła

Smierć ukochanego ojca wpędziła mnie w ponurość i żal nieutulony. Powróciwszy do szkół, zajęty czytaniem żywotów świętych, postanowiłem zostać Reformatem, który to zakon widziałem w szczególném poważaniu u moich rodziców. Mój młody i

całe Pomorze przywiązało się do strony Stanisława. Na to hasło ojciec mój mając lat 40. opuścił dom i familię i stanął na czele obywateli powiatu swego mirachowskiego, a nawet jako rządny gospodarz, mający zapasy żywności, otworzył u siebie magazyn dla gromadzącej się szlachty; tém gorliwiej, gdy mu z Gdańska nadesłany został unwersał Józefa Potockiego, wojewody kijowskiego, jako rejmentarza w koronie przez Stanisława ustanowionego. Nadszedł był pod Gdańsk, wódz rossyjski Münich r. 1734. ale gdy w przypuszczonym szturmie 9. Maja w nocy wojsko moskiewskie odparte i porażone zostało, powiększyła się patryotyczna gorliwość Pomorzan jeszcze bardziej: wszyscy się brali do oręża. Zapal święty, ale go sił przewaga wkrótce przytłumiła; nadszedły nowe wojska rossyjskie i saskie, i miasto do poddania się przymusiły. W ostatniej téj obronie króla swego, między wielu innymi szanownymi, ojciec dostał się do niewoli rossyjskiej, opisał on w niej cierpienia swoje fizyczne i moralne, nie przeczuwając, ile syn jego miał za swą ojczyznę wycierpieć.

rozpalony umysł zdawał się czuć do tego stanu powołanie. Ciemnota zwykle w to miesza Boga, co jój uprzedzeniu i zabobonności pochlebia; zgola niebyłbym waszym ojcem, gdyby to moje mylne powołanie, roztropnemu kapłanowi, stryjowi memu, księdzu archidyakonowi pomorskiemu, niebyło przez Reformatorów samych przełożone. Tego nauka i roztropne uwagi rozchwiały moje postanowienie i zachęciły mnie do kończenia nauk retoryki. Trzy lata byłem w téj klasie; wiek mój młody niepozwalał mi jeszcze chodzić na filozofią i teologią.

Gdy już skończyłem lat piętnaście, zaczęła mnie ta szkolność zawsze jednakowa nudzić, a najbardziej rozdrażniała mnie tyrania księdza Działowskiego profesora.

Pozwalał sobie w naszej klasie takich dzikości, jak w infimie, lubił jezuita bić i z kańczugiem do nas chodził; oburzyłem się na to i zaczyna-

jąc już myśleć, stanąłem na czele moich kolegów, aby téj niewoli i hańby niecierpieć. Téj dziecinnego charakteru insurekcyi opisywać nie będę; dość, że była obrazą majestatu szkolnego, i tak klątwą szkoły od ciała uczniów odcięty zostałem, jako członek zaraźliwy. Poszła ta sprawa do ważniejszego trybunału księdza stryja, zawsze w Gdańsku, jako oficyała, mieszkającego. Po danéj, jako młodemu naganie, byłaby klątwa, za jego rozkazem, zdięta; ale mój stryj, kapłan prawdziwie oświecony, czuł dobrze próżność nauk jezuickich, i chcąc mnie, jak wieki niosły, do oświeceńszej oddać szkoły, przeznaczył mnie do kancelaryi grodzkiej, a potem trybunalskiej, postrzegając we mnie dowcip i do prawnictwa skłonność. Akademii żadnej w kraju nie było, gdy tymczasem w Niemczech prawie w każdym znaczniejszém mieście. Akademia krakowska tyle była

znaną na Pomorzu, co paryska. — Żadnego nam bowiem wyobrażenia nauk i szkół wyższych nie dawano; taki los był oświecenia publicznego! Zresztą, ta wszechnica krakowska, która dopiero za panowania Stanisława Augusta cokolwiek się wzniosła, była dawniej, jak ten odwieczny posąg, w którym przez podanie tylko bałwochwalcze wielbiono jakieś dawne bóstwo, lubo w niém wieki i burze twarzy i członków wszystkich zagładziły charakter.

Pojechałem zatem w piętnastym roku do Skarszewa, tak nazwanego miasta, gdzie księdza stryja było probostwo. Ten szanowny kapłan oddał mnie w dozór kommandarzowi swemu, aby miał oko na moje obyczaje i moralne postępowanie, regentowi zaś kancelaryi Płacheckiemu polecił prawa naukę; więcej uczynić w kraju, w którym żyliśmy, niemógł. Powszechnie mniemanie uważało kancelaryą jako

szkołę szlachetną, przez którą przejść musiała koniecznie młodzież, przeznaczona urodzeniem do rządów kraju i sprawowania wszelkich urzędów publicznych. Zgoła kancellarya miało to być plemię senatorów, posłów, sędziów, i. t. d., źródło wiadomości praw krajowych; kto, jak ja, przez to przeszedł doświadczenie, i nad przeszłym zastanowić się umie, dziwić się nierządowi, a potem zniszczeniu Polski mniej będzie.

Nasienie nieszczęść publicznych, w tym gruncie edukacyi publicznej leżało. Jeżeli, jak wspomniałem, pierwsiastkowa edukacya młodzieży oddana była bez ograniczenia jezuitom i dyrektorom, tak tutaj samym tylko passyom i namiętnościami młodzieniec był poruczony. Nadzwyczajnym tylko przypadkiem, lub też szczęśliwem usposobieniem, stało się, jeżeli młody człowiek, z tego, że tak powiem, złego powietrza moralnego, bez zarazy ser-

ce swoje uniósł, i nałogów najnie-szczęśliwszych na całe życie nie nabrał. Co się tyczy nabycia wiadomości, te tylko przypadkowi, albo wrodzonym zdolnościom młodego przypisać było można; sama szkoła dać ich nie mogła, bo żadnych prawideł, ani organizacyi nie miała.

Już tedy jestem kancelarzystą! To było hasło swawoli i rozwiązłości; szczęściem, że byłem pod okiem wielce moralnego kapłana, kommandarza Szto-ba, i że wrodzoną miałem skłonność do pracy i wielką chęć do nauk; w krótkim czasie nauczyłem się na pamięć akcesoryów. Miała to być książka elementarna prawnictwa; postąpiłem, co było najważniejszém, w aktykacyj; tém słowem barbarzyńskiem nazywano sposób pisania, czyli zapisywania wszelkich czynności prawnych, między stronami zaszytych, albo z wyroku sądu.

Dzień i noc męczyłem się na oso-

bności nad czytaniem statutów Herberta i korektury pruskiej, nie mając żadnego wyobrażenia ducha praw i jego zasad, nie znając różnicy między prawem natury, politycznym, cywilnym, kryminalnym i narodów. Wymawiałem prawa rzymskie, statuta magdeburskie, jak papuga z zwyczaju, bo tak całe godne zgromadzenie moje czyniło. Z tém wszystkim ksiądz stryj po upłynionym roku znalazł we mnie znaczne postępy. Pan regent okrywał mnie pochwałami, przecież ja z méj strony skarżyłem się na ten sposób nauki księdzu stryjowi, który i oświecony i majątny, i do mnie wielce przywiązany, chciał mnie do akademii posłać za granicę. Ale moje przeznaczenie chciało inaczej. Ukochany mój opiekun jeszcze w tym roku na moich rękach skonał. Téj straty niewynagrodziły mi wszystkie następne lata, i jeszcze dziś, gdy to piszę, żalem ściśnione serce lzy wdzięczności roni

pamięci mego najlepszego przyjaciela. On jeden życzył mi dobrze, on jeden umiał, i mógł mi uczynić wiele; nie miał jak lat 54., gdy mnie osierocił. Był w kapitule kujawskiej wielce szanowany, będąc już archidyakonem pomorskim, a stawszy się przez swoje oświecenie godnym téj powagi, miał prawo do widoków dalszych w kościele.

Ten cios dla mnie okropny ścieśnił moje widoki. Ukochana matka pomimo swego najlepszego serca, nie widziała dla mnie szczęścia tylko w kancellaryi. Nabrania biegłości jak najprędzej w prawie, zaczęły wymagać okoliczności, gdy familia Gotorłowskich już wówczas w wysokim stopniu pieniactwa będąca, zaczęła czyhać na nasz majątek. Wybrała do swego połowu moment naszego sieroctwa. Brat mój starszy Joachim, zawsze do życia samotnego przywiązany, nie myślał jak tylko zostać ka-

medułą. Wypadalo mi zatem koniecznie trzymać się prawa. Lat sze-snaście mając, już po różnych sądach biegalem, gdzie nas pieniacze wypro-wadzali. Nabierałem z doświadczenia coraz więcej wiadomości praktycz-nych, tak, iż w siedmnastym roku jako pierwszy kancelarzysta zaczą-łem stawać, czyli, jak mówiono, od-zywać się w sądach grodzkich i ziemskich; to było dosyć sławy na mój wiek. W tym czasie w r. 1764. nastąpiła elekcyja króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, a że wo-jewodą pomorskim był Mostowski, przywiązany, jak się zdaje, do partyi Czartoryskich, zbierał jak najwięcej na Pomorzu szlachty, aby pole wy-biercze pomnożył na korzyść Ponia-towskiego.

Trzeba wam wiedzieć, że Pomo-rzanie z dawnego jeszcze swego pra-wa, jeździli na wszystkie sejmy, jak mówiono *viritim*, to jest ogółem

wszystka ślacha, bez wyborów poseselskich.

Ta polityczna horda szła jak' karawanem, pieszo, konno i na wozach. Ja naturalnie jako kancellarzysta grodu wojewody (bo wojewodowie byli u nas razem starostami grodowymi) należałem z prawa do téj wyprawy, i dostało mi się miejsce na powozach wojewodzińskich. Na czele szedł pan regent kancelaryi Owidzki. Ukochanej mojej matce, lubo majątnój, zdało się rzeczą niepodobną, aby mnie do Warszawy przyzwoicie mogła wyprawić. Tak wcale związku ze stolicą kraj nasz nie miał.

Wyjechałem jednak za jój pozwoleniem, z otrzymanym nowym żupanem i kontuszem, w te, jak mniemała, odległe krainy, w które mnie nie bez łez puściła.

Już więc, mając dopiero lat 17, wszedłem w kolój polityczną, używać zacząłem najchlubniejszego prawa

wolnego człowieka, co sobie króla wybiera. Ale ja bardzo mało miałem o wszystkiém wyobrażenia. Gdzie, kiedy, i od kogo miałem się nauczyć zasad społeczności cywilnych? któż mi miał wytłómaczyć, i ludów i wybieranych jego magistratur prawa?

Podróż i przybycie do Warszawy bardzo dobrze sobie przypominam; na-przód w drodze mieliśmy, i dla nacisku podróżnych, i dla skąpstwa wojewody, wielki głód i niewygody, tak, iż my wędrowcy sejmowi, ułożyliśmy sobie litanią każdego popasu i noclegu, zawsze odpowiadając, krupnik za nami. Doszło to do usz wojewody, rozśmiał się, ale krupnika nieodmienił. W Warszawie zapakowano nas jak więźniów w jakimś domu, ciasno i ciemno. Uciekałem do mojej rodziny, która lepiej żyła i mieszkała; ale wszelako wracać się musiałem do pana wojewody kalwakaty, na której ciźbie i zgielku, zależała cała wiel-

kość i możność, jak mówiono, partyi. Zaczynała się zwykle nasza procesya od wojewody ruskiego Czartoryskiego, w ten czas bardzo możnego.

Powiększyły się moje cierpienia, gdy niektórzy z mojej rodziny i znajomych, wyrzucali mi moje służalstwo Mostowskiemu, którego nazywano uzurpatorem województwa; trzeba było podług dawnych praw w Prusiech byź indigieną, to jest rodakiem pomorskim, aby mieć krzesło lub urząd wojewódzki. Czapscy, co się na czele tych indigienów stawiali, wiedli długie i kosztowne spory z Mostowskim, dowodząc mu, że jest przybysz, a zatem wojewodą byź nie może. To rozjątrzenie umysłów nigdzie nie było większe, jak w Warszawie; wiele razy ledwo do rozlewu krwi nieprzyszło, kończyło się jednak zwyczajnie na krzykach i pogrózkach. Mnie się to, pamiętam, wszystko bardzo przykrzyło.

Byłem ciekawy widzieć miasto, ludzi i rzeczy; ale rozumować, zastanowić się, nie umiałem. Wreście wszędzie zgiełk, burdy, były zwykłym obrazem miasta.

Nadto mi się bardzo niepodobały te ronty kozaków rossyjskich, co wszędzie ulice przebiegają. Pytałem się raz naszego pana regenta, czy kozacy także do elekcyi należą? on się za całą odpowiedź rozśmiał. Nie wiedzieliśmy ani dziejów kraju, ani jego praw politycznych z sąsiedzkiemi narodami, i ich polityki; taka była ta nasza wolność, dla której żyć chcieliśmy, ale to do historyi należy. Ja w tym stanie rzeczy najszcześliwszym się czułem, gdy wprowadzony w dzień elekcyi na polu pod Wola, nieznanym mi dotąd ujrzałem obrządki. Wspaniała szopa, ledwo przejrzone szyki rycerstwa wojewodzkiego i księżę prymas Łubieński, na kosztownym przebiegając faetonie, i wszystkich o zda-

nie zapytując, bardzo mnie zajął. Obrządek ten był zupełnie próżny, zapytanie szyderskie, bo już wiadano niecofniętą wyrocznią z Petersburga, że Poniatowski będzie królem. Co do mnie, to ten raz jedyny tylko pod panowaniem jego byłem z tój zupełnej wolności chlubnym, jeżeli wolnym byź można bez rozumowania. Krzyczałem z całego serca, zgoda! Powodem do mojej radości było, że królem miał byź rodowity Polak, i że po wszystkich posiedzeniach wielbiono go z obszernych wiadomości i najlepszego serca. Nie przeglądałem, że pod jego panowaniem naród miał zniknąć z karty politycznej, a ja ów elektor królów, i sam jako Piast kandydat, w tułactwie życie zakończyć. Reszta w Warszawie była dla mnie widokiem nadzwyczajnym; przybyły z eichój i skromnej prowincyi, rozumiałem się byź przeniesionym w świat wcale inny. Blask zbytku azyaty-

ckiego w pałacach, powozach, strojach, zadziwiał moje oko. Docisnąwszy się do jakiego pałacu i posiedzenia, największe na mnie wrażenie czyniły osoby wymowne, gdy na podniesione ich głosy, wszyscy zaraz zamilkli. Takim był Dłuski, podkomorzy, którego zawsze słyszałem z miłą słodyczą mówiącego, u księcia Czartoryskiego. Największego starania dokładałem zawsze, aby się dowiedzieć, kto jest ten lub ów Cy-cero, a gdy dostrzegłem, że te wszystkie osoby najwięcej przez rozum i wymowę słynące, byli mecenasi i exmecenasi, plenipotenci, regenci i t. d.; uczulem radość, że to byli ludzie z kolebki kancellaryjnej wyrosli; to mnie czyniło hardym, dało jakąś nadzieję i przywiązało do kolei prawniczej. Mój regent, pan Owidzki, który był razem moim krewnym, umiał mi wynosić zawód prawniczy i umacniać mnie w moich widokach.

„I ty Józeku może będziesz z czasem plenipotentem księcia, posłem it. d.“ często mi powtarzał. Cały już od-
tąd byłem zajęty wiadomością prawa, i nabyciem wymowy. Taka jest dziel-
ność pierwszych wrażeń na duszy na-
szej, od tych cały los człowieka na
przyszłość zawisł! Szczęśliwy ten,
który takich pierwszych wrażeń do-
znał wzniosłości duszy, zacności czło-
wieka; na czyim umyśle, umiejętna
ręka prawdziwych wiadomości pier-
wszy rys oznaczy i węgielny kamień
istotnych nauk położy! a co najwię-
cej, gdy niewinną duszę do pokocha-
nia cnoty usposobi.

Warszawa mnie zaczęła ze wszy-
stkiem nudzić, czułem się nie zda-
tny do tego wielkiego teatru; pragną-
łem tylko się uczyć, by się do nie-
go przysposobić, a do takiego zama-
ru rozumiałem, iż nie było szkoły,
tylko kancelarya, i jak mówiono, pa-
lestra. Jakie tylko mogłem dostać

mowy, i książki prawne, zaraz zakupowałem; ale książki polskie, był to natenczas towar bardzo rzadki, jak gdyby w Polsce zakazany; a języki obce, prócz łacińskiego, który posiadałem dobrze, i niemieckiego, którego miałem początki, ledwo z nazwiska znałem; wtenczas przecież mógłbym się być wszystkiego gruntownie i z łatwością nauczyć. Geografia, historia, matematyka i cała literatura, nigdy dotąd do moich uszu niedoszły. Taki był wiek, w którym żyć zacząłem. Muszę mu jednak oddać sprawiedliwość, w czém dla mnie był zbawienny. Był to wiek dla mnie obyczajów i moralności; wychowany w zaciszu niewinnego domu, pod okiem cnotliwych i rzędnych rodziców, żyłem, jak dziś czuję, prawdziwie w wieku patryarchów. Zadne zgorszenie, nie obudziło we mnie tyle szkodliwych dla młodego namiętności. Wszędzie widziałem przykład skromności, pracy

i uszanowania dla starszych, i z tego urobiły się moje obowiązki i prawidła życia. Z tym duchem przyjechałem do Warszawy, która względem mojej prowincyi, zdawała mi się Babilonią rozwiązłości i niecnót. Owe jednak w duszę młodą wpojone zasady religii i obyczaj, były silniejszymi nad wszystkie pokusy; uciekałem od nich, jak od zarazy. Te pierwsze odniesione zwycięstwa, zapewniły mi ciało zdrowe i duszę do myśli i pracy sposobną.

Wyjechałem z Warszawy duszą i ciałem kancellarzystą, uradowany, że odwożę ukochanej mojej matce duszę i serce wolne od wszelkiej zarazy. Dotrzymałem jęj szczególniejsze słowa, nie grać nigdy w karty, czego aż dotąd się nie nauczyłem. Całą drogę zatrudniały mnie książki i mowy, którem kupił, a po krótkim uściskaniu mojej matki o mnie niespokojnej, wyrwałem się z domu do go-

spodarczych zatrudnień do Skarszew. To była moja stolica.

Wtem rozszedł się odgłos, że wojewoda odmieniony, że Fleming na miejscu Mostowskiego naszym starostą grodowym. W kancellaryi rady, zamieszania, niby w Warszawie. Starosta miał prawo wszystkich urzędników odmienić, ztąd bojaźni i nadzieje. Chodzi o to, aby ktoś z kancellarzystów J. W. starostę przy wjeździe witał; powszechny wybór pada na mnie.

Nie jestem zdolny opisać, co noczy bezsennych, dni zamyślonych strawiłem, aby ten urząd mówcy z chlubą odbyć.

Nie wiem, czy kiedy w życiu byłem szczęśliwszy i więcej zatrudniony. Tu dopiero przypominam sobie prawidła wymowy, przerzucam całego Cyncerona, uczę się mów warszawskich; wreszcie Owidiusz i Wirgiliusz nie uszli mego łupu. Cóżbym dał, gdybym tę mowę był dotąd za-

chował. Tyle się domyślam, że tam mówił Cicero, Czaplic, Dłuski, Herbert i korektura praw pruskich, kończył zapewne Wirgiliusz lub Owidiusz.

Wybiła nareszcie dla mnie okropna godzina. Tłum, zgiełk poprzedza wojewody wniście do zamku, w którego przysionku, pan regent czeka, i mnie znak daje. Fleming był bardziej Niemiec niż Polak, człek nudny, zgoła oryginał; musiał się jednak w tłoku zatrzymać i mnie wysłuchać. Pewny jestem, że mało rozumiał, com mówił, z tém wszystkiem, nie wiem przyczyny, może był kontent, że skończył, laskawie się do mnie uśmiechnął; — to był znak pochwały — i zbliżywszy się potém do regenta, o me imię się zapytał, i oświadczył, że mi daje urząd subdelegata grodzkiego. (Urząd subdelegata był w ówczas dość ważny, gdyż do eksekucyi przywodził wyroki sądu i t. d.). Całe obywa-

telstwo zaczęło chwalić mowę, moją przytomność i organ przyjemny. Moje ukontentowanie i szczęście dochodziło najwyższego stopnia. Mało podobnych rozkoszy kosztowałem w późniejszym życia biegu.

Już tedy w 18stym roku jestem magistraturą. Jako delegat, zastępowałem urząd grodzki w różnych krokach prawnych, z dekretów wynikłych. Radość moja tém była większą, gdy sędzią grodzkim został, z nominacyi wojewody, mój wuj Michał Lniński, człowiek z swoich talentów, najpierwszych urzędów godzien. Sędzią ziemskim został wkrótce obrany drugi mój wuj Antoni Lniński, a sądownym, Maciej Wybicki, jeden ze stryjów, który mi się pozostał. Otóż dla mnie pole otwarte przy opinii publicznej, przy sędziach krewnych, do przebiegania kolei, jak nazywano, palestranckiej. Porzucam klasę kancelaryi, postąpiwszy z prawa do wyższej,

zaczynam stawać w sprawach. Ma-
jątek, który miałem, uwalniał mnie od
szukania podłej opłaty, a z wrodzonej
skłonności, którą aż dotąd zachowa-
łem, czynienia przysług bez interesu,
prowadzony zostałem do bronienia
ubogich i niewinnie uciśnionych. Naj-
milszą miałem rozkosz mówić publi-
cznie, bo mi się zdawało, że byłem
wymownym. Zachowałem aż dotąd
te miłe sercu mojemu przypomnienie,
żem ukrzywdzoną wdowę, której
nikt przeciwko jój zuchwałemu panu,
bogatemu klasztorowi Cystersów w Pe-
plinie bronić niechciał, bronił, i wi-
działem uciskających niewinność, wy-
rokiem sądu ukaranych. Stawałem
także w sądach ziemskich, jednając
sobie wszędzie miłość obywateli. Ale
to wszystko zaczęło mi być małym,
przedsięwzięciem więc jechać na try-
bunał do Poznania, to było maximum
ówczasowej edukacyi naszej.

Skromność moja i chęć nauki sprowadziła mnie znowu z wysokiego szczebla grodzkiego na dół, bo w trybunale zostałem dependentem Kierskiego, mecenasa trybunału; a gdy się trybunał rozjechał, stałem się uczniem sławnego regenta Bilińskiego i susceptanta, pamiętam, Zambrzyckiego. Uczyłem się bez ustanku i aż do znużenia, prosiłem tych moich nauczycieli o pracę, niedosypiając nocy. Ale ja przy mojej tak wielkiej pilności, byłem do tego podróznego podobny, co błądzi, co zawsze w ruchu, a zawsze w jednym okręgu zostaje; a nakoniec przejechawszy różne rozdróża, zalał się potem, ale zamiaru swego nie dopiął. Taki był prawdziwie nieszczęśliwy obraz mojej edukacji. Kancellarya i palestra trybunalska różniła się od grodzkiej dojrzalszą rozpustą i ciemnotą. Nie było żadnych pewnych zasad i prawideł nauki. Nauczyciele i uczniowie byli,

że tak powiem, bez wzajemnych obowiązków. Przykro mi jest o tém wspomnieć, a cóż dopiero malować. Mecenas więcej doświadczenia, niż prawdziwój nauki mający, czekał ni-by rękodzielnik przy swoim warsztacie kupca więcej dającego; dependent miał otwartą rękę jak wyzwoleniec, aby przyjąć część jakiej szczodroty. Mecenas na konferencyi, to jest radzie prawniczój z mającym sprawę, ile mu stare wino pozwoliło, pojął treść rzeczy, która miała pójść pod sąd; o losie zaś sprawy wydał wyrocznią, nie z dowodów, których wcale nie czytał, ale z protekcyi dworskiój, jak nazywano, lub partyi na trybunale panującej. Intryga zatém, przekupstwo stanowiły wyrok. Dependent do konferencyi przypuszczony, ogromne majątki w papierach zamknięte, w brudną zawinał serwetę, i miał obowiązek, jeżeli był światły i cnotliwy, wierny zrobić wyciąg z treści, to jest

summaryusz, jak nazywano, dokumentów. Wieleż to na mnie razy tę pańszczyzną wkładał leniwiec i nieoświecony kolega. Lubo byłem dependentem z nazwiska, ale będąc od matki dostatecznie opatrzonej w pieniądze, ani nie mieszkałem, ani nie jadłem u mecenasów. W szczupłym przeto, lecz w własnym swoim zakątku, nie znałem służebniczej niewoli dependenta, i podłej opłaty zakupienia. Przez miłość pracy i nauki przyjmowałem, co mi Mecenas zrobić polecił, albo częściej od innego mecenasa rozpustny dependent zrobić mnie za siebie prosił. W nagrodę jednak mojej pilności, miałem często pod oknem mego zakątku, urągania i krzyki: Cynceronie! żyj z nami. W gronie takowych trybunalczyków, postrzegłem jednak talent niejakiego Rzeszotarskiego, którego potem zaznałem sędzią rawskim. Był to człowiek młody, wprawdzie bez takiego światła, jak w innych na-

rodach w tym czasie już było, ale mocą swego zdrowego rozsądku i dowcipu doszedł, powiem szczerze, wartości adwokatów parlamentów francuzkich. Mówił płynnie i logicznie, miał praw naszych wiadomość. Zazdrość ku niemu rozdzierała serce starych dziekanów, Sawickiego, a szczególnie Tymowskiego. Co się tyczy mojego Kierskiego, zawsze z wdzięcznością winienem go wspomnieć, był to człowiek poczciwy i przyjacielski. Nie miał ambicyi równać się przy induktach z Tymowskim i Rzeszotarskim, byleby go tylko na konferencyach starego wina nie minęła kolej. Wreszcie nie był on do położenia konkluzyi, tylko do pierwszego wyprowadzenia sprawy. Konkluzya zostawiona była niby najmędrszym, którzy, jak dla ich interesu wypadło, dekret trybunałowi podali.

Wracając do mnie, nadmienić muszę, że zachowawszy zawsze szcze-

gólną wdzięczność dla regenta Bielińskiego, i susceptantów Zambrzyckiego i Gorczyczewskiego, którzy memu odpowiadali zamiarowi, pojechałem z Poznania na trybunał rozpoczęty w Bydgoszczy. Na tym trybunale niewidziałem tylko zbytek, pijaństwo i rozwiązłość. Mówiono o przedajności deputatów, jak o przedajności wszelkich towarów; dziś sobie jeszcze nie bez wzruszenia przypominam, jak staropolska cnota wzgardzoną była, a powszechnie zepsucie obyczajów, do téj prowadziło nas przepaści, w której jesteśmy. Doświadczyłem, że lubo król pić nie lubił, ale w jego imieniu zasiadający JW. Mielżyński, wojewoda poznański marszałek trybunału, żył jak najwystawniej. Drudzy szli za jego przykładem.

Wróciwszy na czas do mego wojewodztwa z trybunału, głośnym się stałem w wszelkich magistraturach. To słowo trybunalczyk, było u

nas w sądownictwie tyle znaczącém, co bohater w wojskowości. Za największą łaskę sobie poczytywano, gdym chciał za kim, mającym sprawę przemówić, i niby drugi Rzeszotarski konkluzye dyktowałem sędziom. Uczyniło mnie to popularnym w województwie, chciano, abym się w niém pozostał; ukochana matka ustępowała mi z dóbr dożywocia, ale ja jeszcze w moich zamiarach pojechałem na trybunał do Bydgoszczy, gdzie znowu jak w Poznaniu pracowałem, a bez korzyści, oprócz, żem coraz więcej nabywał doświadczenia.

Tym czasem zbliżał się moment podziału Polski. Uknuto za granicą projekt poróżnienia umysłów w Polsce pod pozorem religii.

Dyssydenci, to jest Polacy wyznania luterskiego etc., mieli się domagać równości politycznej z Polakami wyznania katolickiego. Z takowego układu zawiązała się konfede-

racya słucka, pod marszałkiem Grabowskim, i grudziądzka, pod marszałkiem Golzem, dyssydentami. W ten sposób ta najpotężniejsza do poruszenia uczuć ludzkich sprężyna użytą została, aby polityczne rozwinąć widoki. Co do mnie rok 1767. był epoką mojego politycznego znaczenia, bo gdy w nim sejm zwołany został, pojechałem i ja do mego województwa na przedsejmowe sejmiki, i, lubo młody, bo dopiero lat dwadzieścia mający, posłem na sejm obrany zostałem.



ROZDZIAŁ II.



*Autor występuje na scenę
polityczną.*

Już prawo za tego panowania zniosło było przywilej Pomorzian, jeżdżenia na sejm *viritim*; pozwoliło tylko całej prowincyi pruskiej mieć posłów czterdziestu z trzech wojewodstw i ziem. Przeznaczony w takim charakterze jechania do Warszawy, już bardzo różne od pierwszej mojej podróży na elekcyą miałem zamiary i widoki. Porzucić nazawsze trybunały i palestrę, stałem było mojem przedsięwzięciem. Początki panowania Poniatowskiego zaczęły już rzucać, słabe prawda jeszcze zorza literatury na ciemną ziemię sarmacką. Nie mogłem się nasycić nowo - wychodzącymi pi-

smami; przekonywałem się coraz bardziej z nich, jak obszerne są pola nauk i umiejętności. Szanowny mąż, naszej literatury ojciec, ksiądz Konarski, pijar, zaczynał być moim bóstwem; biblioteka Załuskich miała być moją świątynią. Porzuciłem więc trybunał, którego był marszałkiem książę Jabłonowski, wojewoda poznański, a mój aż do śmierci stały przyjaciół.

Już tedy jestem reprezentantem ludu, prawodawcą, lubo ani wieku, ani głębokiej nauki nie miałem za sobą. To mi przynajmniej miło wspomnieć, że, wyjeżdżając jako poseł, czułem moją niezdolność względem obowiązków tego urzędu, i, wybrawszy sobie za mentora cnotliwego i oświeconego Michała Lnińskiego, mojego wujka, który był moim kolegą, stale sobie postanowiłem, zdatniejszym się na przyszłość uczynić. Droga moja matka, uleczona memi proźbami, z swych

uprzedzeń, przyrzekła mi starczyć na moje bawienie się w Warszawie, nawet i po sejmie w celu méj edukacyi. To było największém mojem szczęściem.

Sejm ten szczególniej do historyi narodu należy, bo, mojem zdaniem, on pierwszy znikczemnił powagę, godność i niepodległość rzeczypospolitej, i już niechybny z czasem upadek jej wywróżył. Tu, choć w szczyplych granicach, muszę jego obraz wystawić, gdyż on miał wpływ największy na całe moje późniejsze życie. Wypadki polityczne najczęściej bywają przypadkowych okoliczności owocem; nie tak się przecież stało w historyi upadku narodu polskiego.

Poniżenie jego i zupełna z czasem zagłada, snuła się pasmem z ułożonego systematu za Piotra Wielkiego. Przodkowie nasi, aż do Jana Zamojskiego, lękali się tylko domu austriackiego, wołając: *Polonia, cave Au-*

striam. Mniej sobie wazyli Rossyą, wyższymi się nad nią sądząc. Ale przeznaczenie chciało inaczej. Piotr W. osiadł na tronie rossyjskiem i założył węgielny kamień jego późniejszej wielkości. Pokónawszy Szwedów, zwrócił całą politykę na Polskę, aby ją w podległości utrzymać. Polacy sami i obce mocarstwa do uskutecznienia tego projektu dopomagali. Polacy utrzymywali żywioł swój duszy, anarchią; obce zaś mocarstwa obojętném okiem na upadek Polski i na groźne podnoszenie się Rossyi patrzyły. Jeden tylko Rzym utrzymywał ciągle w Warszawie nuncyusza, inne państwa, jak gdyby Polski nie było, żadnych, że tak powiem, związków politycznych z nią nie miały. W takim to stanie rzeczy dostrzegło bystre oko Piotra, że Polska, prędzej czy później, łupem być może. Ustalił wpływ swój r. 1717., gdy godząc konfederatów pod

laską Ledochowskiego z królem, wojsko nasze do kilkunastu tysięcy zwinięte zostało. Został się więc kraj już odtąd nieszczęśliwy, bez wojska, bez skarbu, bez rady. Intryga sejmy ciągle zrywała, a my nasze troski razem z królem topiliśmy w kielichu.

W takiej doli tylko król, Piotrowi Wielkiemu podobny, na tronie Polski osadzony, mógł być ją wyratować. Ale gabinet zagraniczny czuwał już ciągle nad wszystkiém. Katarzyna II., trzymając się ściśle systematu Piotra, dała Polsce po śmierci Augusta III. cień tylko króla, zachowawszy dla siebie zupełnie samowładne panowanie.

Stanisław August Poniatowski uposażony był od natury wszelkiemi przymiotami duszy i ciała. W kwiecie jeszcze młodości poznanym został u dworu petersburskiego od cesarzowej Katarzyny II. wówczas wielkiej księżny rosyjskiej.

Historya tę sławną epokę pierwiastkowego jego życia już wielorako opisała, ja tylko dla porządku rzeczy wspomnę, iż go na tronie polskim w skutek swojej potęgi, Katarzyna II. osadziła. Narzucenie takowe króla od obcej potęgi, nie mogło się podobać narodowi, który się wolnym być mniemał. Umiejący myśleć, przewidywali uległość Stanisława dla ręki, której był wszystko winien. Powszechna niechęć ku familii Czartoryskich rozciągała się także i do Poniatowskiego; inni mu jego młodość zarzucali. Te przecież i inne wszelkie zarzuty byłyby znikły, gdyby był posiadał Stanisław tęgość charakteru, która jest pierwszą cnotą panujących; lecz właśnie brakowało téj Poniatowskiemu. Może mu się należało pierwsze miejsce między ukoronowanymi w świątyni muz, ale Polakom trzeba było mieć naówczas koniecznie króla z twardej szkoły Mar-

sa. Poniatowski cały był literaturze i pięknym sztukom oddany, z resztą oddawał się rozkoszom życia; a będąc daleki od ducha oszczędności, marnotrawstwem się kaził. Nic na jego duszę nie działał przykład Fryderyka Wielkiego, który z filozofią łączył wojskowość, i był w niej nauczycielem, którego oszczędność, ta pierwsza zasada ekonomii politycznej, coraz bardziej majątek narodu powiększała.

Przykład marnotrawstwa i zbytków, przeszedł od tronu, do owych starych zamczysk, i poziomych szlacheckich dworków, gdzie ściany zdobyta na Muzułmanach makatą pokryte, dźwigały kołczan z sajdakiem, gdzie zahartowane jeszcze ciało nie знаło miękkości niewieściej, najśłodszy spoczynek znajdowało na burce. Zatarła się wszystkich starożytnych cnót pamięć, nawet poszła w pogardę. Zbytek pierwsze wydał hasło: „Pecu-

nia *primum quaerenda est, virtus post nummos*“. Na takowe zmiany w gnieździe sarmackiem z ukontentowaniem patrzyły gabinety postronne. Wyra- chowano, że już na Polaka zniewie- ściałego, nie trzeba użyć tylko po- strachu i przekupstwa, i już szło tylko o pozór zaczepki i rzucenie iskry do pożaru i zaburzeń wojny domowej, i tak to ułożono. W Pol- sce religia katolicka, była odwiecz- nie panująca; wszelkie inne tolerowa- ne; podsunął tu więc ktoś myśl zrę- czną, aby różnowierców przeciwko religii panującej obruszyć. Polacy najprzykładniejszy pokój z dyssyden- tami zachowując, do ojców swych religii świętobliwie byli przywiązani i ta im dawała wyłączne prawo do wszelkiego znaczenia politycznego. Już na początku roku 1767. radzono dyssydentom, aby się udali pod pro- tekcyą Katarzyny II., Fryderyka Wiel- kiego i innych dworów protestanckich

względem porównania ich we wszystkiém z katolikami. Katarzyna dała téj sprawie po wszystkich dworach imię ohydnej intolerancyi, niezgodnej z ósmnastym wiekiem i oświadczyła, że ją jak najmocniej wspierać i bronić będzie na sejmie polskim. Gabinet więc petersburski, gdy już widział owoc dojrzały swéj polityki, związek konfederacyi dyssydentów uznał za potrzebny i w tym celu przeznaczył Goltza, starostę grudziądzkiego, na marszałka konfederacyi w koronie, a Grabowskiego w Litwie. Ta ostatnia miała się zawiązać w Słucku. Na pierwszy odgłos takowych związków w całym kraju zjawily się poruszenia. Jedni, przez gorliwość o wiarę, zaczęli podnosić głosy; drudzy, przeglądając tylko w tém dziele za pozór wziętą religią, domyślali się prawdziwego celu gabinetu petersburskiego. Nastaly różne pisma i narady w téj materyi w Warszawie. Książ-

żę Sołtyk, biskup krakowski, przewodząc duchowieństwu, umiał jego gorliwość miarkować, a przedstawiając niebezpieczeństwa, jakimi kraj był zagrożony, starał się pogodzić jedną matkę dzieci, w religii się różniące. Ale książe Repnin, poseł nadzwyczajny rosyjski, który miał w nowe zamieszania i w nowego rodzaju anarchią wtrącić nieszczęśliwą Polskę, załatwienia wszystkich sporów życzyć sobie niemógł; żądał więc sejmu nadzwyczajnego, do którego materiały już w głębokich tajnikach zgromadzone były. Król był powszechnie znienawidzony; familia Czartoryskich dla swych samowładnych postępowań, prócz swych niewielu stronników, była niecierpianą; przeciwnie książe Radziwiłł, wojewoda wileński, za swoje patryotyczne myśli i dzieła, na wygnaniu w Dreźnie będący, wyzuty z majątku, powszechną wzbu-
dzał litość i przywiązanie.

Te były żywiły do mającego się
wzniecić pożaru wojny domowej, a
raczej do zarodu ostatniej hańby i do
zaguby odwiecznego w swój niepo-
dległości narodu. — Zaczęli więc po
kraju rozrzuceni posłannicy przema-
wiać głośno, iż epoka najszcześliw-
sza dla Polski się zbliża, że wspa-
niała cesarzowa, widząc cały naród
przeciw królowi i Czartoryskiemu
sprzysiężony, zostawi mu wolność
zmienić, gdy chce króla, i Czartory-
skich prawem ścigać dopuści. Głos
ten zwodniczy do rozjątrzonych tra-
fił umysłów; większa część Polaków
już walący się tron, jak mówili, uzur-
patora i dokonaną już zemstę na Czar-
toryskich widziała, i tę obłąkanego
ludu radość umieli posłannicy nowym
żywiółem zasilić, głosząc, iż wspa-
niała cesarzowa, ublagana w swój
zemście, dozwoli księciu Radziwiłło-
wi, wojewodzie wileńskiemu, nietyl-
ko wrócić do kraju i majątku, ale

nadto podnieść łaskę marszałka konfederacyi generalnej i łaskę marszałka sejmowego. Na ten odgłos kupią się po całym kraju malkontenci i już widzą króla oddanego zemście Radziwiłła. Wychodzi tego wszystkiego potwierdzenie z wyroczni Repnina; związek konfederacyi generalnej się dozwała, na siedlisko jej, niby to w oddaleniu Warszawy, Radom się wyznacza. Wszystkie wojewodztwa i powiaty zostały wezwane do czynienia partykularnych konfederacyj; sejm extraordinaryjny na dzień 5ty Października r. 1767. w Warszawie odbyć się mający, wyznaczony.

Ale niebawnie dostrzegła konfederacya już w Radomiu sidła, w które wpadła. Wojsko rossyjskie naokół otoczyło konfederacyą; nawet wyższej rangi oficerowie wchodzili na jej posiedzenia i obrady. Nakoniec, aby dogodniej mógł wszystkiem władać, rozkazał Repnin przenieść się konfe-

deracyi z Radomia do Warszawy. — Wszystko mu już ulegać musiało, bo najmniejszy opór pociągał za sobą więzienie, pożogi i zupełne dóbr spustoszenie. I gdy się wszystko demaskowało, księżę Repnin malkontentom myśleć o strąceniu króla zakazał, mówiąc, iżby to było zbrodnią obrażonego majestatu.... Jeden tylko hetman Branicki w tém sidle nie uwiązał, i gdy, z daleka na rzeczy patrząc, podstęp dostrzegł, odjechał, krótkie już dni swoje w Białymstoku dokończyć.

W tak zło wróżbém położeniu rzeczy sejm się rozpoczął, w którym i ja, jako poseł, miejsce moje zasiadłem. Król na pierwszej sessyi do konfederacyi przystąpił, bo inaczej nie byłby miał wcale w nim (sejmie) głosu. Stanisław Brzostowski, jako marszałek konfederacyi generalnej wielk. ks. lit., zasiadł obok Radziwiłła, a za nimi Marcin Matuszewicz, jako se-

kretarz. — Próżne pozory! ten mniemany sejm wolny był owym zjazdem w dawnych wiekach feudalnych, na które panujący, wzywając baronów, wyrażał: *Venistis ad videndum, audiendum et consentiendum*. Jakoż już się była konfederacya wprzęgła w jarzmo obce, szukając gwarancyi cesarzowej na wszystkie swoje czynności. Z takiego kroku poddaństwa cofnąć się już nie mogła, ile, że 40,000 wojska obcego, po całym rozlawszy się kraju, postrach i zaburzenia roznosiły; stolica napelniona była żołnictwem, a, co zgroza wspomnieć, śpiegami własnego kraju.... Nie brakło na wyrodnych Polakach, którzy, zaprzedawszy się posłowi, służyli mu za pierwsze narzędzie do podłych jego czynności.

Nim się sejm zaczął, już Repnin ogłosił, iż żadnych przedstawień od sejmujących nie przyjmuje; iż najmniejszy upór, uważany jako kryminalny,

i tak karany będzie. Wola najjaśniejszej cesarzowej ślepo miała być przyjętą, a zatem sejm zamienił się tylko w delegacyą, mającą dyssydentom sprawiedliwość wymierzyć, i z księciem Repninem, od najjaśniejszej cesarzowej do tego upoważnionym, traktat zawrzeć i t. d.

Zadrzały na to umysły sejmujących; nastąpiła powszechna rozpacz; odezwwały się przecież w wielu duszach uczucia niepodległości narodowej, i, pomimo surowego zakazu księcia Repnina, aby ust nieotwierać, dały się słyszeć na publicznych obradach i na prywatnych posiedzeniach śmiałe głosy. Miotaly takie upory rozjątrzonem, ale razem i zatrwożonem umysłem Repnina. Lecz, któż w wieku ośmnastym mógłby się spodzierać, żeby poseł obcego mocarstwa, z łona sejmu wolnego narodu, uwięził i na Syberyą wysłał najznakomitszych z zasług stanu i wieku Polaków! tak się prze-

cież stało, i kończąc tę okropną scenę, która jeszcze odświeża ranę moich uczuć; wspomnę, że książe biskup krakowski, Kajetan Sołtyk; biskup kijowski, Zaluski; wojewoda krakowski, hetman polny, koronny Rzewuski; tudzież syn jego, poseł podolski, pod bokiem zgromadzonego na sejm narodu, pod bokiem króla i wśród stolicy, przez strażę rossyjskie, pod wieczór schwytni i na Syberyą uwiezieni zostali!...

Tu nie do mnie należy malować obraz, nietylko sejmujących, ale też i obywateli wszystkich, i nieodważam się w prawdziwych kolorach wystawić téj sceny, która nas wszystkich w przepaść rozpaczyny wtrąciła; wspomnę tylko, aby méj narracyi nie zerwać, iż co tylko ta wieść była się rozbiegła, zjechali się, szczególnież na wezwanie kanclerza Andrzeja Zamojskiego, senatorowie, ministrowie i posły do księcia marszałka w. ks.

litewskiego, w celu naradzenia się, co wypadło czynić w tak okropném zmiewagi narodowej położeniu. Cnotliwy Andrzej Zamojski wniósł, iż iść wypada do króla, i jeśli on porwanych zwrócenia do Warszawy niezareczy, konfederacya ma się rozwiązać, senatorowie krzesła, posłowie ławice, ministrowie urzędy opuścić. To kończąc dodał Zamojski, iż on jutro zwróci królowi dyploma, jeżeli ten silnie w obronie powagi krajowej nie stanie. Rozrzewnieni wszyscy przytomni, oświadczyli na wszystkie raczej narazić się niebezpieczeństwa, jak tój hańbie uledez i t. d. Przecież, okrutne wspomnienie! z grona tego patryotycznego zaraz po obradzie przybiegł jeden do posła, i wydał osoby, które się naradzały i co uradziły!

Poseł powiększyć kazał po wszystkich ulicach strażę, rozlał po wszystkich domach szpiegów, a sam do zamku się udał. Król o wszystkim

był już uprzedzony, cały więc przejęty strachem, przyjmował posła, który na to pomięszanie króla z natrząsaniem do niego przemówił: „Jak widzę, nie znasz twoich Polaków, jeden tylko Andrzej Zamojski dotrzyma słowa i pieczęć złoży; trzeba ją przyjąć; inni, bądź pewny, wszystko jutro zrobią, cokolwiek im rozkażę.“

Coza chluba dla Zamojskiego, coza hańba dla ogółu!

Tymczasem cała Warszawa miała postać pogrzebu, na którym każdy grubą żałobą okryty, w ponurém zostając milczeniu, jękiem i płaczem się odzywał ... spotykają się przyjaciele, w zamięszaniu, ani się nie poznają. Każdy kto przez miłość sławy narodowej myślał ściągnąć na siebie zemstę posła, gotuje się na Sybir. Ten robi testament, ów się żegna z żoną i rodziną. Mój wuj Lniński uważany jako naczelnik posłów pruskich, również się lękał zemsty Repnina.

Zjechaliśmy się wszyscy posłowie do Czapskiego wojewody malborskiego, który sentymentami i znaczeniem w prowincyi pruskiej celował; ale ta narada niema, podobna była do owéj narady senatorów rzymskich, którzy niemogąc dać oporu napastniczéj sile, czekali spokojnie na śmierć i urąganie.

Cale miasto noc tę bezsennie strawiło; prócz smutku, odbierał sen nieustanny szcęk broni żołnierstwa obcego, które się po wszystkich ulicach przebiegało; każdy przyjscia dnia oczekiwał, w którym mieli się zgromadzić na zamku najznakomitsi z senatorów, ministrów i posłów, dla przelżenia królowi ważnéj sprawy narodu. Przywiązałem się i ja do niektórych posłów pruskich; bo najwięcej zalęknionych lub przywiązanych do konfederacyi grudziądzkiéj zostało się w domu. Niebylbym się przecie na zamek wtłoczył bez pomocy dziada mego Lebińskiego, bry-

gadyera w służbie francuzkiej, ozdobionego krzyżem S. Ludwika. Tłok był do nieopisania, i strażę prawie co krok dziedziniec i wschody zalegały. Gdym się na pokoje wcisnął, król już wchodził. Do Boga należy sądzić, czy powierzchowność jego smutna, zgadzała się z jego sercem. Książę Radziwiłł, marszałek, najpierw do niego przemówił, ale ich nie słyszałem. Ten magnat nie miał ani nauki, ani wymowy, kochał przecież swoją ojczyznę szczerze, króla nienawidził, a bardziej jeszcze familią Czartoryskich, która go była z majątku i sławy wolnego obywatela wyzula. Po nim, ile dostrzedz mógłem, mówił dalej książę Lubomirski M. K. Na te przedstawienia sejmujących, treść odpowiedzi króla, jakem się zaraz dowiedział, była następująca: „Dziele narodu żale, ale zataić niemogę, iż w téj doli nie pozostaje nam, jak udać się tylko do wspaniałomyślności

Imperatorowój, a tymczasem kończyć sejm wypada, abyśmy większej surowości na siebie nie ściągnęli.“

Po téj mowie króla ponure nastąpiło milczenie; jeden tylko, nieśmiertelny Andrzej Zamojski, kanclerz, trzymając dyploma kanclerstwa w ręku, zbliżył się do króla i rzekł: „Już niema narodu i sejmujących stanów po dopełnionym gwałcie przez posła obcego, i gdy temu zaradzić, królu, nie możesz, ja twoim ministrem byź nie mogę i dyploma mi oddane, zwracam.“

Podług umowy mieli inni ministrowie naśladować Zamojskiego; mieli i senatorowie i posłowie przytomni oświadczyć, iż swe miejsca opuszczą, jeżeli powaga narodu zwróconą nie będzie. Ale Repnin dobrze wywróżył, że Zamojski tylko jeden jest zdolny do tak heroicznego czynu; jakóż król, odebrawszy od Zamojskiego dyploma, wrócił się do siebie, a

wszyscy zgromadzeni opuszczali pokoje, ażeby pełnić w służebniczej postawie dalsze rozkazy posła. Z pogardą lud spoglądał na wszystkich; jeden tylko Andrzej Zamojski odbierał od niego hold uszanowania, prowadzony był, jak w tryumfie, od rozczulonych do progów swego mieszkania, jako do progów świątyni cnoty. Niech pióro dziejopisarza dokładniej kiedyś maluje obraz téj okropnej sceny narodowej; ja tylko wspomnę, iż, jak chciał poseł sejm kontynuowany został. Mówić nikomu nie było wolno; przygotowany projekt, postanowienie delegacyi samowładnej, w imieniu zawartego traktatu z dworem petersburskim, do ukończenia sporów między dyssydentami i t. d., został sejmującym stanom przeczytanym i sejm do 5. Marca 1768. załimitowany został. Kto do téj delegacyi nie wchodził, był zupełnie bezczynnym w Warszawie; wszyscy też z największym

pośpiechem wyjeżdżali. Ja oświadczyłem méj familii, iż się dla nauk chcę jeszcze pozostać.

Gdym się z niektórymi moimi kolegami odjeżdżającymi znajdował u Czapskiego, wojewody malborskiego, rozpoczęły się żale nad uwięzionymi senatorami; na to Czapski, zapewniwszy o charakterze przytomnych, odpowiedział: największa szkoda księcia biskupa krakowskiego, ale się wiele do swojego nieszczęścia i straty kraju przyłożył sam, był bowiem przestrzegany przez Krasińskiego, biskupa kamienieckiego, aby się żadnym gwałtom posła nie opponował, gdyż te opozycye są próżne; a, im więcej gwałtów dopuści się Rossya, tém prędzej się na nią obruszy Francya i Turka do wydania wojny pobudzi.

Dodawał wyraźnie biskup kamieniecki, iż już te rzeczy ułożył we Francyi i Konstantynopolu. To opowiadając nam Czapski, dodał, iż wyraźnie żą-

dał biskup kamieniecki, aby, jaki śmiały i rozsądny poseł koniecznie, mimo zakazu Repnina, domagał się głosu; a gdyby tego nie otrzymał, aby przeciw tym gwałtom w obliczu sejmu, zaniósł protestacją i tę w aktach zapisał. Na takowej protestacyi, kończył Czapski, chce biskup kamieniecki konfederacją generalną zawiązać. Te ostatnie wyrazy niby piorunem z nagłą wypadły, i wskroś przeszły mą duszę.... zamilkłem, rzekłem tylko sam w sobie: „ja tym posłem będę!... Ta myśl już mnie odtąd nie odstąpiła; dzień i noc żyła ze mną i na wszystkie późniejsze przysposobiła nieszczęścia. Układ mój cały, poświęcić się naukom, ile czas pozwoli.

W tym celu, porzuciwszy mieszkanie, gdzie się z moją rodziną łączyłem, przeniosłem się do celi skromnej karmelitów bosych na krakowskiem przedmieściu, i w tém ustroniu z je-

dnym tylko służącym Łukowiczem, literackie rozpocząłem życie. Sześć godzin na dzień czytałem w bibliotece Żaluskich, dwie godziny miałem lekcyę partykularne geografii i historyi; u księży pijarów resztę czasu poświęcałem nauce języka francuzkiego, a przez większą część nocy przypominałem sobie lekcyę dzienne i rozmaite książki czytałem. Los mi posłużył znaleźć w bibliotece Żaluskich dyrektora téjże, ks. Wolfers, człowieka wielce oświeconego, powolnego i słodkiego charakteru, który był prawdziwym moim mentorem.

Zbudowany moim nadzwyczajnym zapalem do nauk, przy temperamencie żywym, w młodości kwiecie i wśród rozwiązłej Warszawy, wyznaczył mi oddzielny pokoik do czytania; wiedział on, że byłem posłem, wymiarkował mój sposób myślenia; często więc nad losem biskupa krakowskiego, swego mecenasa, utyskiwał. —

Poznał, jak tkliwie czułem ten gwałt i, jakby się domyślał, iż mi tylko brakowało żywiołu do zasilenia moich patryotycznych usposobień; przyszedł raz do mnie i zapytał, czy czytałem życia wielkich ludzi; odpowiedziałem mu, że, jeszcze w szkołach będąc, czytałem życia, czyli żywoty świętych. — Uśmiechnął się na to, mówiąc, to czytanie było dobre w swym czasie; lecz teraz trzeba oswoić się, jako gorliwemu Polakowi, w różnych wiekach i w różnych narodach. To powiedziawszy, dał mi dzieło Plutarcha, i przyrzekł, że je wraz ze mną czytać i rozbiierać będzie. — Po kilkudniowych lekcjach leż wstrzymać nie mogłem, iż mi cnoty tak wielu ludzi aż dotąd tajne były. Wyprosiłem sobie na nocne czytania, co się przez dzień nie odczytało, i już odtąd nie żyłem, tylko z Arystydem, Sokratesem, Fabrycyuszem i t. d. Niech wspomnienie

to złoży hold wdzięczności na grobie ks. Wolfers. Dzieło z jego rąk otrzymane, rzuciło pierwsze nasienie prawdziwej moralności i cnoty obywatelskiej w duszę moję. Z tych wielkich wzorów pewne sobie w życiu prywatnym i publicznym założywszy prawidła, nigdy, aż dotąd od nich nieodbiegłem. Naukom się w ten sposób oddawszy, w życiu samotnym namyślałem się tylko, jak na rozpoczętym z limity sejmie, dobrego posła, jak mówił biskup kamieniecki, obowiązki dopełnić. Mało mając znajomości z delegowanymi, a raczej mając ich w obrzydzeniu, dowiadywałem się z daleka tylko o ich czynach, i te z naocznego przekonania i rozchodzących się po mieście wieści, przekonywały mnie, iż przy największej rozpuszcie grób dla swój matki kopali. Do takiego zepsucia obyczaj, począwszy od króla, przyszła Warszawa! Przez całe dni trwały tylko

igrzyska, biesiady, niby owe u starożytnych bachanalia. Król był młody, piękny i rozwiązły, a z nim dzielił rozwiązłość Repnin. — Za tym przykładem szła reszta; a gdy na rozpusty, gry i marnotrawstwo nie starczyły majątki, otworzył się register opłaty miesięcznej u posła. W tym registerze były rubryki *plus minus* zdatnych do zdrady kraju. — Wydała w większej części na świat tę czarną księgę rewolucya z roku 1794., ale o tém później.

Pomimo skłonności do życia samotnego, musiałem niekiedy bywać u księcia Radziwilla, marszałka, bo książę, wyrobiwszy w r. 1767. na sejmie pełnomocną kommissyą do rozpoznania pretensyj, które miał do książąt Czartoryskich i innych, z przyczyny zabranych mu dóbr i mobiliów kosztownych, do téj liczby i mnie wybrał, jak zapisane moje imie w konstytucyi znaleźć można.

Podług ówczasowego mniemania miała to być najświetniejsza dla mnie perspektywa, alem ja nią pogardził i wręście zmiany rzeczy od niej mnie oddaliły.

Dom księcia Radziwiłła przyrównać można było do owego wolnego jarmarku, gdzie każdego rodzaju ludziom znajdować się wolno, gdzie zgraja szulerów, kuglarzy i t. d. jak brudny potok się leje. W tym wielkim domu brudne stoly, jak w zakupionej gar-kuchni, zawsze otwarte, żywiły orszaki śpiegów, szulerów i pasibrzuchów. — Na takim teatrze przyjmował księżę marszałek różne delegacye od województw i powiatów w interesach publicznych i prywatnych.

Obdarzył los niezmiernym majątkiem tego księcia, ale za to natura odmówiła mu nieomal zupełnie najdroższych dla człowieka darów duszy.

Pomimo téj szczupłości żywiołu do działań umysłowych, mógłby przecież

był uczuć, jak z niego sztydzono, dając mu taką rolę do odegrania, a razem, jak się dały uwodzić te delegacye do niego wysyłane, ale to do jego biografii należy. — Dla mnie każdy moment, który sejm z limity zbliżał, był momentem coraz nowój rozwagi. Nakoniec stanowcza chwila nadeszła. Delegacya już 1. Lutego 1768. dzieło swoje ukończyła; posłowie na rozpocząć się mający sejm, że powiem, niemy, zjeżdżać się zaczęli. — Nadjechali i moi koledzy; pierwszą propozycyą, abym się do mojej familii przeniósł, odrzuciłem, dając różne przyczyny. Niechciałem jój na niebezpieczeństwo narazić, bo zachowałem w tajniku serca mego stale przedsięwzięcie, prosić o głos i wszystkie gwałty wystawić, które sejm ten z wszelkiej powagi ogolocy. — W takim zapale ułożoną sobie mowę, którą mieć miałem przy rozpoczęciu sejmu, umiałem na pamięć. Mego za-

mysłu nie powierzyłem nikomu, już to, żeby nikogo nie skompromitować, powtóre, żeby się nie starano mnie od tego przedsięwzięcia odciągnąć. Jednemu tylko, memu służącemu Łukowiczowi, kazałem odnieść w wigilią sejmu pożyczone książki, sam niektóre papiery popaliłem; ważniejsze moje rękopisma naukowe tak urządziłem, iż się do mego wuja, posła Lnińskiego, dostały.

Nadszedł sejm, w dzień rozpoczęcia się jego byłem od rana nabożny, spowiadając się, oddając się całkiem stwórcy. Niema pociechy dla człowieka niewinnie prześladowanego, jak tylko w religii, tylko w zupełnej rezygnacyi w poddaniu się woli nieba. W tym duchu zawsze będąc, zachowałem, aż do ostatnich dni życia mego, spokojność duszy.

Wcześniej bardzo poszedłem na zagaić się mającą sessyą wraz z moim służącym Łukowiczem, zalecając mu

jak najmocniej, aby stał za mną, co być łatwo mogło, gdyż ławica posłów pruskich była ostatnia.

Nim król na tronie zasiadł, już księżę Repnin pokazał się w swój łoży, najbliższej tronu, i okno odsunął. Już senat i posłowie zgromadzeni byli. — Nie były to twarze ludzi wolnych; cała ich postać okazywała skrepowanych jeńców, którzy ostatniego wyroku na siebie oczekiwać mieli. — Ja, lubo wyższe miałem miejsce, stanąłem na samym końcu ławicy, tak, iż byłem naprzeciw marszałków, jak zwykle naprzeciw króla na końcu izby senatorskiej siedzących. W krótkich wyrazach zagaił sejm marszałek Radziwiłł, obszerniej nieco po nim mówił Brzostowski, marszałek konfederacyi litewskiej, wyrażając, iż, ponieważ delegacya pełnomocnie z woli limity sejmu działająca, już dzieło swoje ukończyła, a zatem od jego czytania sessya się zaczyna.

Powszechnie nastąpiło na moment milczenie, które ja śmiało przerywam, mówiąc: „Mości księżę marszałku, proszę o głos!“ Samo moje żądanie tak śmiało rzuciło w podziwienie izbę całą; powstał nagle ruch, szmer do nieopisania powszechny, każdy ku mnie zwraca głowę, tém więcej, że w życiu mojem samotném mało komu byłem znany. Król wstaje z tronu, pytając się, kto to jest? Księżę Repnin rzuca się z gniewem w swój łoży, koledzy moi odemnie się odsuwają — każdy, poczawszy od króla i Rossyan i od osób sejmujących, bierze mój głos za hasło jakiegoś skrycie zawiązanój rewolucyi. Jeden na drugiego z trwogą spogląda. Straże się kupią... Czapski, podkomorzy chełmiński, od Rossyana i Poniatowskiego do mnie przysłany, jako mój współziomek i kolega, wzywa mnie do tronu i gwałtem bierze za rękę. Oddalam go z pogardą, a korzystając z milcze-

nia, w które nagle z podziwienia i bojaźni wszyscy wpadli, odzywam się: „Ponieważ, książe marszałku, nie dajesz mi głosu, pomimo prawa, którego nie zmazać nie potrafi, a które posłowi wolnemu na każdym sejmie mówić pozwala, oświadczam przynajmniej, iż, gdy zwróconych na łono senatu uwięziouych senatorów nie widzę, nie widzę wolnego sejmu, ale tylko gwałt i przemoc obcą; przeciwko téj więc protestuję.“

Te w największym zapale powiedziane słowa, jak piorun z nie nieznającego wypadły obłoku, roznoszą trwogę i pomieszenie. Książe Repnin, król i wszyscy służalcy lękają się w téj nieprzewidzianej młodego eksplozyi ukrytego wulkanu; w dobrze myślących, ale bojaźliwych sercach rodzi się nieznajomój nadziei pociecha; wszyscy arbitrowie w zgiełku do mnie się tłoczą, każdy pyta o me imię,

słyszę wznoszący się głos: Dybicki, Zabicki, Wybicki . . . —

Rada nagła, aby sessyą solwować, i w cichości zatłemie pożaru wysłodzić. Młodziejowski od tronu do maie się odzywa, iż N. Pan solwuje sessyą. Mnie w tym stanie rzeczy przestrzegają cnotliwi arbitrowie, abym się gdzie schronił czém prędzej. — Schodzę na dół, każdy odemnie ucieka; jeden tylko, wierny mój przyjaciel, służący Łukowicz, nie odstępuje mnie i z izby wyprowadza; zdziwiłem się, iż mnie, wychodzącego nie łapali Rossyanie, lubo odgłos publiczny wytykał mnie idącego; wszyscy wolali: to ten, to ten! — Ale łatwo wyrachować w tém politykę rossyjską, iż bez odkrycia rzeczy nieśmiało hazardować jakiego zaburzenia w aresztowaniu mojej osoby, której i tak zdawali się pewnymi być w Warszawie. Jakoż zaraz z izby inkwizycye nastąpiły na posłach pruskich; wuj

mój i drudzy wokowani zaraz, to do króla, to do Repnina; zagrożeni wszyscy, ofiarują się przysiędź, że do postępku mego nie należeli. Stancya moja, ciche ustronie na korytarzach, ledwo odkryte, zaraz po sessyi wartą otoczone, papiery zabrane i t. d., zgoła na godzin kilkanaście zamieszanie i nieufność, śpiegi się na wszystkie strony rozbiegły. Największa jednakowoż troskliwość Rossyanów, mnie wyśledzić, była nadaremna. — Wyprowadzony, jak powiedziałem, ręką mego przyjaciela Łukowicza, powziąłem nagle myśl skryć się u bernardynów przy zamku. Tu muszę powiedzieć, iż projektu tego nie miałem przed sessyą, przygotowany będąc na to, że mnie Rossyanie z izby nie wypuszczą i porwą. Wszedłszy do OO. bernardynów pytałem się o lektora, zdaje mi się Stembora; ten z mego pomieszczenia biorąc mnie za jakiego nieszczęśliwego lub krymina-

listę, z bojaźnią za sobą do celi wpuszcza razem z Łukowiczem, a dowiedziawszy się, kto jestem, zasłania okna, zaklina na spokojność i przekłada potrzebę przestrzeżenia gwardyana. Wnet się wraca w rozpacz, iż gwardyan przewiduje zrabowanie klasztoru i t. d. i prosi zatem, abym się wyniósł. Przekładam z méj strony niepodobieństwo i kapituluję; aż do zmroku zamykają więc nieproszonego gościa w celi, a kiedy niekiedy cnotliwy lektor przychodził mnie cieszyć, donosząc razem, że kozacy przebiegają całą Warszawę, Wybickiego szukając.

Nie będę wam opisywał, co się naówczas z duszą mą działo. Któż odmaluje obraz człowieka, w dwudziestym pierwszym roku życia, z temperamentem jak najżywszym, w którym wszystkie passye wzbudzone! Miotany na przemian między miłością życia i miłością ojczyzny, miłością

swych obowiązków; rozpaczą, zemstą uniesiony, widząc razem swoje słabość, niemożność i przepaść oczywistą. Postanawiam wrócić się na jutro na sessyą i szukać śmierci. Roztropność przecie nagania mi tę myśl, daje uczuć, że już dopełniłem mego obowiązku, będąc tym do brym posłem, jakiego pragnął biskup kamieniecki, dla dobra rzeczy publicznej. — W takich konwulsjach okropnych doczekałem się zmroku. Bernardyni domagają się mojej kapitulacji, zapewniają z płaczem, że już Rosyianie ich klasztor obskoczyli, że już grożą, aż w trumnach szukać zbiega. Wynoszę się zatem, jak byłem, z moim Łukowiczem, skrytą fortą i idę do pałacu Bielińskich, do mieszkania nuncjusza, do kanonika kijowskiego, którego imię drogie sercu mojemu z żalem zapomniałem. Najcnotliwszy obywatel i kapłan, poznał mnie jako posła w bibliotece Zału-

łuskich, i skoro mnie w swojej izbie zobaczył, rzucił się na mnie i łzami oblał; pozwolił przytulku, z przelozieniem jednak, iż się lękał, aby dom publiczny, dom nuncyusza, od przemocy obcej nie doznał gwałtu. Ledwom się przespał i dnia doczekał, nuncyusz, dowiedziawszy się o mnie jakimś przypadkiem, pełen gniewu, wyganiać mnie każe i wyrzuci mego przyjaciela kanonika. Wierzę, że jako poseł, musiał to uczynić, mógł przecież przyzwoitsze do tego wzięść środki. Ale zaciągam na to zasłonę, powiem tylko, iż, głosem mego nieszczęśliwego przyjaciela poruszony, znowu się na pielgrzymkę z Łukowiczem wybrałem i zaszedłem do missyonarzy. Tam nowe sceny, nowe trudności w pozwoleniu mi przytulku; wymogłem jednakże tyle, iż mnie nie wypchnęli i gdzieś na podwórzu za browarem schronienia ustąpili. Tam już uczułem osłabione siły

i, w najgłębszym pogrążony smutku, wysłałem wieczorem Łukowicza do mego wuja Lnińskiego, aby mi doniósł, w jakim stanie były rzeczy, i jeżeli zobaczenie się ze mną uważa za niebezpieczeństwo. Niebawnie przyszedł wysłany od niego Fabian Gordon, naówczas kadet w gwardyi konnej koronnej, a który w ostatniej rewolucyi był brygadierem. — Przez niego odebrałem zakłęcia, abym sobie i wszystkich spokrewnionych na ostateczne nie narażał niebezpieczeństwo; — abym się jeszcze ukrywał w Warszawie dotąd, aż nie upatrzy się chwila do bezpiecznego jój opuszczenia; zapewniał mnie razem, iż wszyscy dobrze myślący pracują tajemnie nad manifestem, którybym mógł podać w trybunale piotrkowskim, lub, gdziebym znalazł sposobność i t. d. Tak mnie pocieszając, ujrzał sam niepodobieństwo zostania się mego u misjonarzy; pobiegł więc do karmeli-

tów bosych, gdzie dawniej mieszkał, i tam, bez wiedzy przeora, umówił się z jednym z lektorów, mnie znajomych, ażebym się wieczorem do niego na noc przeniósł, a w dzień pod dachem kościoła na sklepieniu, aż do dalszego czasu, ukrywał. Po takiej kilkudniowej gospodzie, wystarał mi się szanowny mój wuj o wygodniejsze schronienie, gdzie też aż do wyjazdu z Warszawy ciągle przebywał. Mojem bezpieczeństwem, czyli ocaleniem, zatrudniała się tylko familia moja; wielu chwaliło patryotyzm, ale patryoty los był im obcy! Jeden z przypuszczonych do sekretu namawiał mnie, abym się prosto do króla udał, iż ten mi przyrzekł bezpieczeństwo i zapewnienie dalszego mego losu. Nie przyjąłem téj propozycyi i wciąż nagliłem pana Gordona, aby mi ułatwił wyjazd z Warszawy, ile, że sejm 5. Marca 1768. już się był zakończył; jakoż dnia 7go Marca

1768. wyjechałem bryczką z Warszawy, mając Łukowicza za woźnicę. Kochany mój przyjaciel Fabian Gordon, którego imienia, bez czulej wdzięczności, wspomnieć nie mogę, wyprowadził mnie aż za miasto. Pomijam niektóre małe wypadki w podróży; dość powiedzieć, że szczęśliwie stanąłem w Piotrkowie. Tam, ukryty, wezwałem do siebie niektórych dawnych moich kolegów, już wiadomością publiczną o mnie uprzedzonych, i wspólnie z nimi dokazałem tego, iż, po niejakiach trudnościach, skłonił się regent trybunalski przyjąć odemnie manifest. Było to wiele cnoty z jego strony; prawda, iż w sekrecie czuwał nad swoim bezpieczeństwem, i mnie natychmiast do Krakowa wysłać postanowił. Ledwom wyjechał, sekret się wydał; marszałek naówczas trybunału Bniński, potem kasztelan chełmiński, za wniesioną przez instygatora illacyą manifest mój *unanimi voto*

deputatów eliminować z akt nakazał, a regent za cnotę osądzonym został! Dowiedziałem się o tém wszystkiém w Krakowie, i razem przestrzeżony zostałem, iż za mną w pogon poszli kozacy. Tentowałem powtórzyć manifest, w Krakowie używałem do tego wszelkich sposobów; ale w téj starodawnéj naszej stolicy nie było już wcale ducha narodowego. Bójka i trwoga obejmowała wszystkich na moje imię. Ktoś przecie mnie przestrzegł, abym się do Sandecza przebieżał, a ztamtąd na Spiż, jako jedyny sposób ocalenia życia, bo już Rosyianie się dowiedzieli, że byłem w Krakowie. W Sandeczu z rąk kozaków wyratowany zostałem przez poczciwego furmana, który mnie z wielkiém niebezpieczeństwem gdzieś tam prosto przez Dunajec furmańskim wozem przewiózł. Pamiętam, iż mi się zdawało, że mnie potok pochłonie, ale też może strach powiększał oczywi-

ste niebezpieczeństwo, bo kozacy się wszędzie uwijali. Przyjechawszy na Spiż ujrzałem się bezpieczniejszym, i dopiero pierwszy raz po mojem wyjściu z izby, zacząłem spokojnie oddychać. Zainformowano mnie w Krakowie, iż na Spiżu, jako w starostwie polskiem, transakcye robić było można, a zatem i mój manifest miałby tam swoje znaczenie. Transakcye te wszelkie przyjmowała kapituła; pochodziło to jeszcze od wieków dawnych, kiedy tylko duchowni pisać umieli, ja wtenczas o tém nie wiedziałem, zresztą akta duchowne, znalazłem bardzo dogodne sprawie mojej. Przełożyłem biskupowi Zbyszko, staruszkowi bardzo szanownemu, iż jeżeli sejm gorliwy, nietylko o swobody, ale i o całość panującej religii, z przemocą obcą, nie wskórać niemógł; ja przynajmniej jako poseł i członek jego, chcę tutaj przed światem odkryć gwałty obcej przemocy.

Mówilem po łacinie ; nie było to stylem Cyncerona, ale jednak Węgrzy uznali mnie za dobrego łacinika. Poczciwy biskup przekonał całą kapitułę, iż ten manifest przyjąć powinni, i też przyjęła.

Tu trzeba, abym wam powiedział o duchu sejmu, a przynajmniej dobrze myślących, i treści mego manifestu. Najsilniej obstawaliśmy przy swobodach niepodległości narodowej i całości religii panującej, której podkopywanie miało posłużyć do zamieszek i nowej anarchii, w której ciągle utrzymywać Polskę, było najgłówniejszą ościennych państw polityką. Sejm niechciał owój rzezi Świętego Bartłomieja, w której Hugenoci zdradziecko i okrutnie padli okropną ofiarą pod ostrzem żelaza swych braci i króla; ale Polacy uważali dyssydentów, przez nieprzyjaźne mocarstwa poruszonych, jako narzędzie do osłabienia i zagłady władzy udzielnej narodu. —

Oświeceni i gruntownie myślący przewidywali w tym kroku Moskwy rzucone nasienie wojny domowej, wojny, nad którą nie okropniejszego, wojny religijnej. Sąsiedzi, przeglądając zbliżające się powstanie nasze polityczne na zasadach pokoju i na świetle ośmnastego wieku, starali się klótnią domową wcześniej nas osłabić; szukali zapewne pozoru do łupiestw i ucisku, do wojny otwartej, a potem i do rozbioru. Tak widział prawdziwie głęboki polityk Krasieński, biskup kamieniecki; księżę Soltyk, Żaluski, biskup kijowski, hetman Rzewuski, Andrzej Zamojski i inni. Ci mężowie dalecy byli od krwawego i ciemnego fanatyzmu; nie chcieli wytrącać innego wyznania braci z łona matki wspólnej ojczyzny; ale chcieli, aby spory, że tak rzekę, familii, w domu, pod okiem matki, a nie pod sądem obcym, rozstrzygniętemi zostały. Gdy jednak dostrzegli, że obcy od téj

Machiawela polityki nie odstąpią, wzięli za hasło: całość wiary katolickiej, aby większą część narodu z letargu ocucić. Powiem, większą część narodu, bo wszakże klasa mieszczań i wieśniaków, niekosztując na nie-szczęście swobody wolności, ku jej obronie kwapić się nie miała powodu, a tym sposobem tylko dla obrony wiary, w której odebrała życie, wszystko poświęcić była gotowa. Mój manifest ściągał się też do tego.

Jeszcze w Warszawie, a potem w drodze, dochodziły mi wieści, że się ogólne powstanie w kraju tworzy. Na Spizu, na łonie prawdziwie ojcowskiem mojego biskupa, spokojnie i wygodnie żyjąc, pod zasłoną mej protestacyi, odbieram nagle i niespodziewanie odgłos JW. Potockiego, podczaszego litewskiego, abym się łączył z konfederacją barską i abym przywiózł mój manifest.

Zresztą wyrazy dla mnie najchlu-

bniejsze, widoki uratowania ojczyzny zapewnione i już rozpoczęte szczęśliwie utarczki, — Głos taki był dla mnie głosem wyroczni; w zapale chcę być drugim Kurcyuszem; nie pragnę, jak tylko rzucić się na żelazo i ogień dla kraju! Dziękuję biskupowi za gościnność i z wyciągiem autentycznym mego manifestu puszczam się na powrót do Krakowa.

Tam już zastaję pomieszanie z nieomylną wiadomością o konfederacyi barskiej, która się jeszcze 29. Lutego pod laską Jana Krasińskiego, podkomorzego rożańskiego, w Barze związała. Odebrałem też razem smutną wiadomość od księdza Wyczechowskiego, jezuity, mego krewnego, że ukochana moja matka ledwo z życiem uszła w swych dobrach przed wściekłością kozaków, którzy wszystko spustoszyli. Moim stałym zamiarem było, dostać się jak najprędzej do Baru, dokąd się już wojsko

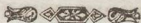
rossyjskie i pólki królewskie ściągaly. Dowiaduję się, iż obywatel Łaszkiewicz, kupiec krakowski, wybiera się na jarmark do Brodów; handlem jego były kosy i t. d. — Za rekomendacją wspomnionego wyżej ks. Wyczechowskiego, przyjmuje mnie on, jako za pisarka, do handlu i zabiera z sobą na brykę. — Poczciwy mój Pan osładzał mi, ile mógł, moje położenie, a gdyśmy przyjechali do Lwowa i już wojska i pólki królewskie zastali, rzekł mi do ucha: nie wychodź Waćpan na miasto, aby go nie poznano. Domyśliłem się, że wiedział o sekrecie, rzucam się więc rozczulony na jego łono i los mu mój powierzam; on mi na to: zawiozę Waćpana nie daleko Brodów do pana Orłowskiego, on także na tym sejmie był posłem; a ztamtąd już przebieraj się, jak możesz; bo ja ci już dopomódz nie potrafię. Poczciwy Łaszkiewicz! gdy to piszę, twe prochy méj

wdzięczności nie usłyszą. Już dawno, jak się dowiedziałem, jesteś w grobie, ale, oby te słów kilka mogły cię uczynić nieśmiertelnym w pamięci enotliwych Polaków! Dotrzymał mi słowa, zawiózł do wsi pana Orłowskiego i przyrzekł czekać na mnie w karczmie, abym go o dalszym mym losie zapewnił.

Orłowski, cześnik chełmiński, niegdyś sławny trybunalczyk, był razem ze mną posłem, był ze strony Czaratorskich, mowca sławny, a co większa, mój współziomek z województwa chełmińskiego. Zmieszał się na mój widok, i odkrywwszy wkrótce mój zamiar, lubo nie był konfederatem, był jednak Polakiem dobrym, obowiązuje się przesłać mnie o trzy mile do Baru, jako swego ekonoma, do swych tam leżących dóbr; daje starą kolaskę i konie i jednego człowieka. Pobiegłem uściskać mego dobrodzieję Łaszkiwicza; oblaliśmy się na-

wzajem łzami; on do Brodów, a ja, z kupczyka na ekonoma, pod Bar. Stanąwszy w dobrach Orłowskiego, przebrałem się ztamtąd, mając już dwóch ludzi, do Złoczewa, zdaje mi się, miasteczka, dwie czy trzy mile od Baru; tam spocząć i odetchnąć pod chorągwią konfederacką postanowiłem sobie. Trzy dni odpoczywając, przerzucam moje szpargały, czytam różne książki i piszę sobie mowy do marszałków, układam różne projekta, które mi się po głowie roily. Opuzczam niektóre przytém zdarzenia, wspomnieć jednak muszę jedno bardzo ważne. Gdy tak w Złoczewie siedzę, dowiaduję się, iż nadciągnęła jakaś chorągiew pancerna już konfederacka. Biegnę w zapale ją widzieć i powiadam moje imie. Gdy się potém spokojnie spać położyłem, zostałem nagle otoczony przez ulanów królewskich, examinowany ostro i pod wartę stawiony. — Czekalem chwili,

w którój mnie zabiorą do obozu rosyjskiego. Niespokojność moja trwała tylko kilka godzin; byli to wprawdzie ulani królewscy, ale ci, którzy przeszli do konfederatów. Ich naczelnik, oficer Izdebski, łączący do swój marycjalnej figury ostrość egzaminu, wziął mnie, od szpiegów żydów, za osobę należącą do dworu Mokranowskiego, króry był od króla do konfederatów posłany; ale, dowiedziawszy się od oficera, któremu się już byłem dawniej meldował, kto jestem, przyszedł do mnie z przeproszeniem i ofiarował konwoj aż do Baru.



ROZDZIAŁ III.

*Konfederacya barska.*

Nie opiszę, jakie się budziły we mnie uczucia, gdym się zbliżył do téj nieszczęśliwej, jak mniemałem, wyroczni, i jak bardzo się moje życzenia i nadzieje zawiodły; — jak odmienny znalazłem obraz od tego, który sobie wystawiałem. Bar, miescina żydowska, kończono ją właśnie palisadować, albo raczej dobrym płotem obwodzić, gdy wjeżdżałem. Błyszczał tylko klasztor karmelitański, murowany, z nowym cmentarzem, murem obwiedzionym, gdzie ów sławny Marek, karmelita, przeorował i cuda miał działać . . . nie byłem żołnierzem, tylko człowiekiem młodym, bez nauki i doświadczenia, ztémwszystkiém, żyjąc długo

w Gdańsku, miałem już wyobrażenie twierdzy; widziałem wojsko pruskie i naszego wybory, na assistencyi trybunałów i przy królu w Warszawie; widziałem, co więcéj, wojska nieprzyjacielskie; pytam się więc z nieśmiałością rotmistrza konfederackiego, co mnie konwojował, gdzieby była twierdza barska? — Wskazał mi wśród mieściny na kopcu dworeczek, jak to nazywaliśmy szlachecki, obwiedziony szerokim rowem i mający mostek polski zwiedziony. Na okół wyniesione brzegi i fosy, niby to szanice, czy chcesz nazwać mury, bodaj nie trzy lub cztery kosze, składały całą sztukę inżynierską do obrony! pytam się, gdzieby było wojsko? powiada, iż na kwaterach w mieście, reszta rozkomenderowana . . . Zadrzałem na to wszystko, tém bardziéj, gdy nieład w obozynie maléj pod miastem spostrzegł; ale powiedziano mi, iż, po otrzymaném niedawno zwycięztwie,

pohulać sobie żołnierzowi pozwolono. Wiadomość zwycięstwa, to słowo: „pobiliśmy“, pogodziło mnie z pijanymi zwycięzcami; a zawsze pełen przykładów z historyi greckiej i rzymskiej, myślę, że widzę tę czerń, tę zbieraną hołotę Romulusa, która tyle cudów dokazywała. Wjeżdżam więc na to moje kapitolium, i gdy się zameldowałem, wyszedł na przeciwko mnie sekretarz Kachanowski, wita mnie uprzejmie i na radę wprowadza.

Prezydował w niej JW. Puławski, starosta warecki, regimentarz, czyli raczej marszałek związkowy, którym go wojsko d. 4. Marca wykrzyknęło. Wyciągają do mnie wszyscy ręce i najszczerwsze uściski braterskie, powitania ustne poprzedziły. Zabrał potem głos Puławski, odpowiedziałem przygotowany i manifest złożyłem. Witali mnie i drudzy, a kilka razy łzy i westchnienia przerywały głos. Zapytany, odpowiadam, jaki duch

w wojewodztwach, które przejechałem, ale razem nie taję, jaką siłę nieprzyjaciela zastałem we Lwowie. Na wniesienie pana marszałka związkowego, jednomyślnie konsyliarzem generalnym konfederacyi barskiej ogłoszony zostałem, a szczególnie do współnictwa pracy z Jpanem Kochanowskim, sekretarzem, zaproszony.

Powiem szczerze, iż postrzegłem wkrótce, że łódź nasza była bez sterownika, na całą wściekłość burzy puszczona, cóż czynić? Nie wypadało, jak tylko poddać się losowi; czułem, iż nie byłem jeszcze urobiony na konsyliarza w tak wielkiej sprawie; przyjąłem pracę, nie urząd. — Ledwo nominacya moja się skończyła, wszedł ksiądz Marek na radę. Powitali wszyscy z uszanowaniem patriarchę; on się pyta o Wybickiego i hojnemi obsypuje mnie krzyżami, powtarzając: *sit nomen domini benedictum, żeś z nami!* Ksiądz Marek

był wieku podeszłego, miał miny surowego proroka, owszem, podług przysłowia ruskiego był cokolwiek hulaka. Jeżeli ciemność i uprzedzenie czyniła go cudotworcą, umiałby odpowiedzieć oskarżającym go o imposturę. Gdybym dziś go widział, szanowałbym go jako dobrego Polaka i gorliwego obywatela; jeżeli wówczas równie z drugimi czcilem w nim kandydata do kanonizacyi, było winą czasów. Puławskiego, marszałka związkowego, zastałem okrytego obrazami i relikwiami. Za jego przykładem, a raczej za mocą opinii, wszyscy te świątobliwe pozawieszali na siebie szyszaki; już też ja dobrym puklerzem rożańca i skaplerza od mego biskupa w Spiżu opatrzony byłem. Nie piszę tego duchem wyszydzania; wiem dobrze z mych dziejów, jak waleczni przodkowie nasi, zaśpiewawszy Boga rodzico dziewico, uderzali i zno-

sili hufce nieprzyjaciół, ale téż muszę dodać, że, gdy nasze Piasty śpiewali pobożnie, i Wojciecha i Stanisława wzywali pomocy, bili się walecznie bronią stósowną do czasów; ich sztuka wojowania zastósowaną była do wieku i nieprzyjaciół; my, powiedziawszy prawdę, że, zachowawszy zabobonność naddziadów, zachowaliśmy razem tylko ich piki z wieku dwunastego na wiek ośmnasty. Ale wróćmy znowu do rzeczy.

Zastałem jeszcze szczątki wesolności po otrzymaném, jak mówiono, zwycięztwie nad Rossyanami i półkami królewskimi; radość była tém większą, bo dumny Branicki haniebnie uciekał z rozpierzchniętym półkiem królewskim; ledwo nie został złapanym, uciekł przecież, tylko się jego czapka w zdobyczy dostała. Żeby was nie dziwiło, jak z Rossyanami i wojsko królewskie przeciw

skonfederowanym walczyło Polakom, dość wam tu nadmienić, iż Stanisław August, oddawszy ulanów swoich pod Branickiego, łącznie mu z wojskiem rossyjskiem działać rozkazał. Zaboli to Polaka, ale tak było.

Wśród tych dogorywających tryumfów widziałem w roztropniejszych ponure milczenie, co nie chcąc wyjawić wiszącej burzy, czuli ją dobrze i zważali. Tyle głoszone zwycięstwo skończyło się na zmiesieniu podjazdu, który się dla powzięcia języka pod Bar podsunął, i na którego czele z zagrzaną głową Branicki nieroztropnie stanął. Jeńcy, których mieliśmy, był jeden pułkownik rossyjski, kilku oficerów i przeszło stu kozaków. Pułkownik, z którym mówiłem, i niektórzy oficerowie, byli źle traktowani. Dla niedostatku miejsca siedzieli w lochach, które zwykle na Ukrainie przed napadami kozaków, dla zachowania sprzętów robiono. A co wię-

cój, że pułkownik ten był wysłany od komendy na rozmówienie się z marszałkiem Puławskim.

Po tych początkowych utarczkach sam rozum wskazywał, iż Rosyianie w porządnym sposobie atakować będą, ile że już wszystkie swe siły zbierali i z niemi ciągnęli. Kommunikacye wszędzie przecięte, obywatelswo zagrożone, a kozacy po całym kraju rozlani, buntowali chłopów greków, rabowali szlachtę.

Nie tak się więc rzeczy miały, jak się przy zawiązku konfederacyi spodziewano. Czuł porywczosć kroku i niedojrzałość planu Krasiński, marszałek; ale nie posiadając tego geniuszu, który w największych nieszczęściach umie sobie zaradzić, zwał wszystkie błędy na Puławskiego, nazywając go w swój popędliwości zdrajcą. Nawet ksiądz biskup kamieniecki skarżył się na Puławskiego, iż przedwcześnie powstanie zro-

bił i rzecz publiczną zgubił. Joachim Potocki, podczaszy litewski, marszałek konfederacyi województwa bracławskiego, także się wówczas nie znajdował w Barze, imię tylko jego bardzo głośnie, równie jak i Maryana Potockiego, marszałka konfederacyi halickiej. Sam Puławski był starzec, dość pod swoim siwym wąsem poważny, jak to zwykle nasze weterany. Nie brakowało mu na gorliwości i tém obywatelstwie, które jest podstawą dzieł patryotycznych, ale które samo nie jest dostatecznym w człowieku publicznym, w naczelniku wojska. Puławski przeszedł przez palestrę, sprawował urzędy mecenasa i plenipotenty, a w tym charakterze miał domowi Czartoryskich podobno służyć. Z téj szkoły została mu się łatwość tłumaczenia się, piękna wymowa. Słyszałem go kilka razy odzywającego się do wojska, do obywateli przytomnych, mnie-

małem nawet wówczas, że tak, jak Hannibal mówił i czynił; ale później przekonały mnie smutne przykłady, że Puławski dobrze może, jak to mówiliśmy, od kratek w trybunale się odzywający, bardzo źle na czele obozu stawał.

Może mnie się kto spyta: a któż był zdatniejszy? odpowiem: że powstanie nie powinno było mieć jeszcze miejsca, i że pierwszy jaki młody porucznik, znający swego stanu i sztuki przynajmniej a b e c a d l o, byłby zdatniejszy na czele żołnierza stanać, jak mecenas i plenipotent. Te były żale wszystkich, te były narzekania biskupa kamienieckiego, jak zobaczymy niżej.

Ja, jako konsyliarz i przydany do pracy sekretarza generalnego, podówczas Kochanowskiego a) przypu-

a) Z tym bowiem sekretarzem nie trzeba mieszać późniejszego Bohusza.

szczony zostaje do tajemnic dzieła, które kończyły się całkiem na gorliwej chęci związku barskiego, wierzyłem w ów czas szczerze, iż więcej do zbawienia kraju nie potrzebujemy. Akt powstania uważałem za dzieło wszystko możliwe, odgłos do Europy na niesprawiedliwość Rossyi za wyrok dla Polski zbawczy, zgola, że już widzę związek całego świata, przeciw barbarzyństwu i gwałtom. Nie zastanowiłem się, że wojna, którą rozpoczynaliśmy, była zarazem wojną domową, że puszczać się na téj wagi rozprawę nie mógł, jak tylko nadzwyczajny gieniusz, który wszystko przegląda i może, albo nadzwyczajna niewiadosć, co nie nie widzi i po wulkanie spokojnie sobie chodzi. Nie wiedziałem w mojej niewinności, że pryncypia moralności tak mało prywatnym osobom własne, całe były obce polityce; nie wyobrażałem sobie jakiej siły wojskowej i pienię-

źnej, jakiej wytrwałości potrzebowaliśmy, aby króla z tronu strącić, stronników jego, jako zdrajców publicznych ukarać, dumną i silną obcą potencją pokonać i niepodległość kraju ustalić. Przy téj całej mojej niewiadomości byłem konsyliarzem, a Kochanowski sprawiał, iż powiem, urząd ministra spraw wewnętrznych i zagranicznych.

Ten cnotliwy Polak, już w wieku dobrze podeszłym, był równie jak ja młody w wiadomościach politycznych. Nie zaprzeczam mu gorliwości i dobrej chęci; ale jakimże nieszczęśliwym dla kraju losem, dostał się jemu w dziele urząd tak ważny. Zadrzałem, gdym spostrzegł, że czy z dawnego nałogu, czy z świeżej rozpacz, lubił trunki, a nie mając jak tylko wiadomość kancelarską i do tego grodzką, najzawilszój dyplomacyi trzymał protokół. To czytając, zasmuci się zapewne serce wasze!

zastanowi was może nawet pędzel, jakim ten obraz maluję. Takim był przecie w istocie! Powtarzam to, co w myślach moich nad konfederacją wyraziłem, iż ani w nienawiści, ani w zemście, ani w czarnych kolorach złorzeczenia i satyry nie maczałem pióra. *Sine ira et studio*; moim jedynym zamiarem jest jak najsumienniejszą prawdę wam odkryć. Opisując Tacyt upadek państwa rzymskiego, powiedział: *Non tamen adeo virtutum sterile saeculum, ut non et bona exempla prodiderit.*

Tym przykładem cnoty, był u nas związek barski, gdy ciało nasze polityczne już korrupcyą zatrute, do grobu się zbliżało. Na wyborze ludzi tylko brakło, bo Rossya najzdawniejszych była zakupiła; na jedności, na połączeniu sił wszystkich, bo pierwszych naszych magnatów siedzisko już było w Petersburgu. Nie

było Zamojskich, Chodkiewiczów, Zolkiewskich!

Przy takim niedostatku ludzi wielkich konfederacya barska ledwo się poczęła, już weszła do grobu. Kochanowski nie tał przedemną zbliżającą się burzy. Wydawając codzień zachęcenia do wojska i do obywateli, aby na obronę ojczyzny spieszyli; czyniliśmy przygotowania do opuszczenia Baru i uwiezienia aktów i niektórych korrespondencyj, któreby mogły skompromitować dobrze myślących. Puławski nam radził, abyśmy korzystając z konwoju, wyprawdzającego jeńców, sami się przy nim wynieśli i tam dążyli, gdzie był Krasieński. On, jak mówił, chciał się dla obrony Baru pozostać.... Co za projekt! bronić Baru! albo koniecznie pod nim czekać nieprzyjaciela i potyczkę zwodzić. Zaślepienie tylko w cudotworstwie Marka, plan téj operacyi militarnej działało. Dwadzie-

ścia cztery godzin tylko przed okropną sceną dobycia Baru, wydobyliśmy się z Kochanowskim. Puławski został rozproszonym, mieście z największą łatwością dostali Rossyanie, ksiądz Marek napróżno jak zagorzały fanatyk, na murach swego klasztoru dowodził i tyle ofiar z sobą nieszczęśliwych narobił. Zwycięzca brodził w krwi zwyciężonych.

Ledwośmy Krasińskiego w jakiejś wiosce znaleźli, doszły nas te okropne wieści; Krasiński zupełnie stracił głowę, jak to zwykle bywa, kiedy kto nie zna żadnego układu i planu. Ku granicom tureckim posuwajmy się! odzywa się rada, a Turek jeszcze o naszym powstaniu nie wiedział; dopierośmy z Kochanowskim zaczęli pisać credentials dla wielkiego posła do porty ottomańskiej. Wysłany tam ktoś na prędcę z Baru, w Chocimiu przez przekupionego od Rossyi baszę, został przytrzymanym, ale znalazł spo-

sobność uwiadomić o tém przez żyda podczaszego Potockiego. Ta nowina zupełnie Krasieńskiemu rozum odebrała; Rossyanie doganiają, a naprzód iść do Turcyi nie można. Basza przekupiony zbuntował jańczarów, a Grecy w Mołdawii i Wołoszczyźnie przez emissaryuszów rossijskich zagrzani, gotowali się nam bronić przewozu przez Dniestr. W tém zamieszaniu i powszechnój rozpaczey nadciągnął Potocki, podczaszy, i zaspokoił Krasieńskiego, oznajmując, iż wysłał zaraz gońca do baszy chocimskiego z prezentami i przelożeniem, iż do Konstantynopola sam jako poseł pojedzie, ażeby zatem Polakom, przyjaciolom Porty, schronienia przed Rossyanami nie bronił, bo za to własną osobą odpowie. Trzeba wiedzieć, że imię Potockich najbardziej Turkom znane i poważane.

Taka więc familianta negocyacya zastąpiła miejsce przepomnianej dypl-

macyi. Nadszedł do nas i Puławski z okruciami rycerstwa; nadciągnął wreście i Marciu Potocki, marszałek halicki. Zgielk, tłum, nieład, ale co smutniej, gorszące klótnie między Krasieńskim i Puławskim; Krasieński uniesiony furją, wyrzuca Puławskiemu publicznie zdradę, że przekupiony od Czartoryskich, związek prędzój jak należało, podniósł, że nie czekał wykucyi planu, który brat jego, biskup kamieniecki, ułożył, że... że... na co gdy odpowiadał Puławski, Krasieński, jak pomnę, rękę na niego podniósł w oczach moich! Gotował się znowu nowy krwi rozlew, któremu przecież Potoccy, jedyni, którzy mieli tam powagę, zabiegli i zważnionych rozłączyli. Zgorszenie jednak rozeszło się po wszystkich stronach; słowo to: „zdrada“, wyrzeczone przez marszałka, nową w sercu wszystkich rzuciło bojaźń i nieufność. Zupelna insubordynacya w pozostałym

wojsku, w kilka godzin ledwo jeszcze kilku set było. Rozpierzchnęli się, gdzie im bezpieczeństwo radziło. Zamrużyli na to oczy marszałkowie, przeglądając trudność wyżywienia w Turczech większej liczby skonfederowanych, a nie mieli ani nadziei, ani planu do dalszych kroków wojennych. Dano więc nareszcie każdemu wolność wracania do domu z zaleceniem, aby ducha narodowego ożywiać.

W tym okropnym stanie rzeczy podczasy Potocki był duszą umierającego ciała, dla niego jednego Krasieński miał względy, jemu nieco ulegał, jego tylko słuchał.

Tych czterech naszych dowodzców mam do tego czasu jakby przed oczami. Krasieński, co do ciała najotyłszy, wzrostu dobrego, lat przeszło 40 mający, prędko mówiący, prędko aż do niezrozumienia, gdy w passyi; w pracy leniwy, w religii wolny, do utrzymania téj powierzchowności, która szcze-

gólnie na tym urzędzie była potrzebną, niedbały, zresztą czasami przyjacielski i aż do buffonady wesoły. Potocki, podczaszy litewski, suchy, wzrostu miernego, czarniawy, na pół siwy, włosy obcięte z szwedzka, jak mówiono, nosił, zająkał się bardzo. Przy temperamencie, jak się zdawało żywym, był zimny i powierzchowność utrzymywał poważną, powiem dworską, ton człowieka dobrze wychowanego, a lubo dawał czuć, że Potocki i wymagał, żebyśmy to czuli, był jednak przystępny i przyjemny. Co do jego wiadomości, nie umiem sądzić, to tylko spostrzegłem, że miał najwięcej roztropności, flegmy i trafności w rozumowaniu. Nieprzyjaciel osobisty króla; zgodny w tém z Krasieńskim, aby księżę Karól saski, który miał Krasinską za sobą, na tronie osiadł. Maryan Potocki, najlepszego serca, z każdym poufały, prawdziwy hulaka, mina Ukraińca, czupryna

wygolona, w koutuszu, chudy, biały, zawsze z lulką, jak się zdawało śmiały, nieprzyjaciel wszelkich rozumowań, zupełnego był przekonania, że Rossyan pobijemy i króla strącimy. Podobno nie bardzo bogaty, ale wylany, w głodzie jaki nam się osobliwie w Turczach zdarzał, u niego najłatwiejsze było pożywienie; tam Kochanowski, niecierpiany od Krasńskiego, miał swój dom, stół i towarzystwo. Puławski nosił się także po polsku, czupryny i wąsa siwego, wzrostu miernego, postaci przyjemnej, powolny; miał ton człowieka żyjącego między naszymi magnatami, którzy go szanowali jak rozumnego i świątłego jurystę. W religii był fanatyk, w wiadomościach politycznych, a szczególnie w wojskowych, zupełnie ograniczony; niedostatek ten przecież talentów, jemu z urzędu tak koniecznie potrzebnych, zastępowała przytomność, łatwość i otwartość w tłó-

maczeniu się powolném i logiczném. Za mało go znałem, abym mógł o jego charakterze samowolnie sądzić, i pomimo zdania Krasieńskich, marszałka i biskupa, nie myślałbym, że był zdrajcą i narzędziem partyi królewskiej. Jego wiek, religia, skromność życia, zdaje się ręczyć za niego. Ale jakże na te powierzchowności się spuszczać, gdy sobie wspomnę sekretarza sejmowego, Matuszewicza, starca zgrzybiałego, już na wpół w grobie będącego, co dzień mszy słuchającego, a który jednak był Rosyi zaprzędany, i dla tego, za zwoźniczego mentora księciu Karólowi Radziwillowi, marszałkowi sejmowemu przydany. Puławski w zupełnej otwartości, często zemną mawiał, iż wystawiony był przez naród na ofiarę, który tak mało energii pokazał, przy zaczęciu powstania, utyskiwał na nikczemność, popędliwość i niezdatność marszałka Krasieńskiego, na

zazdrość i nienawiść Potockiego, podczaszego, który chciał być koniecznie na jego miejscu marszałkiem związkowym. Mówię tutaj za Puławskim, bom jest prawie przekonany o jego sercu czystém, przez wzgląd na ofiarę, którą z swych synów czynił. Czyż mógł być taką potworą, aby własne swe dzieci na rzeź prowadzić? dla kogóżby się zaprzedał? Synowie jego młodzi, odważni, najpiękniejszej duszy republikaninów, Polaków dawali dowody; znałem z nich najlepiej starostę augustowskiego, który podobno był przy boku króla saskiego, był bardzo przyjemny i miał dość wiadomości. Nie będę opisywał innych, zakończę tylko w tém przekonaniu, że zapewne żaden z nas nie miał ducha zdrajcy, że wszyscy tchnęli jak najlepszą wola, i że rzecz publiczna jedynie zdradzona została, przez brak gieniuszu, który tylko w takiego ro-

dzaju rewolucyi skutek zaręcza szczęśliwy.

Błąkaliśmy się od wsi do wsi, zawsze ścigani, aż nakoniec musieliśmy, że tak rzekę, wplaw przez Dniestr. Nie było dość przewozów, jak to się po policyi tureckiej i zdradzie Greków spodziewać było można. Zbijaliśmy tratwy i tak na los popędliwej rzece, którą tyle razy zwycięzca Polak przebywał, stworzona drużyna, swe życie poruciła. Nie docisnąłem się ja i na przewóz bezpieczny, nie miałem konia, abym mógł iść w plaw, wtłoczyłem się więc, za pomocą mego nieodstępnego służącego i prawdziwego przyjaciela Łukowicza na zbitą tratwę, i przecież na brzeg drugi się dostałem.

Doczekałem się jeszcze nie daleko brzegu widzieć ułanów królewskich, jak na brzegu ojczystym strzelali do przewożących się, jak palono wsie, które nam dały schronienie.

Na dobitkę, wysłano mnóstwo emisaryuszów na Wołoszczyznę, aby nas jeszcze bardziej zaprzedać Turkom i Grekom. Dokazywano w przedajnej tłuszczy z łatwością wszelkie okrucieństwa; Grecy nam nawet studnie zamykali i wody na ugaszenie pożerającego pragnienia zabraniali. Musieliśmy zawsze jak zbrojnym karawanem przesuwać się w okolice Chocimia, bo inaczej zdradzieccy Grecy, oddzielnych lub zablakanych obdzierali, męczyli i zabijali.

Potocki, podczaszy, pokazał się zbawcą wszystkich, gdy był dość śmiały udać się do baszy chocimskiego, i śmiało mu zdradę jego wyrzucić; powtorzył, że czeka rozkazów z Konstantynopola, i tak baszę, zbrodnią swoją czującego, załaskł i ułagodził. Tymczasem wysłano do Konstantynopola, a my z resztą pieniędzy i bagażów zakupywali, jak mogli u łakomego Turka, momentalne

przynajmniej bezpieczeństwo i żywność. Położenie nasze było okropne, wyparci z ojczyzny, zostawiliśmy na zemstę wściekłości braci naszych. Z nieśmiałością spoglądaliśmy jeden na drugiego, łzy i westchnienia były naszym językiem, zdarzało się, iż każdy, jak to zwykle w takim razie bywa, miał coś drugiemu do wyrzucenia, i któż z nas wreszcie był wolnym od tych tajnych wewnętrznych wymówek, które w niedostatku cierpliwości oslabiony tworzy umysł? Rozproszyliśmy się na różne części w Chocimskiej ziemi, ojciec wasz nie dojechawszy do Chocimia, dla oslabionego zdrowia, został się przy Maryanie Potockim, zawsze wesołym, we wsi Filipowce. Puławski gdzieś zjechał na bok zgryzotą i rozpaczą męczony; Krasiński bez nadziei życia chory, i Potocki, podczaszy, passujący się z okropnością losów, leżeli w Chocimie; Kochanow-

ski z resztą życia, bo go tam wnet dokonał, odniósł im tak nazwane akta związkowe.

Tymczasem nasz stan coraz bardziej się pogorszał; już żyć nie było za co, a w niedostatku okupu bezpieczeństwa i pokarmu, Turek i Greczyn, zamienili się dla nas w tygrysy. Wielu z nas się nawet sturczyło, wielu posyłało po pardon na drugą stronę, i zawierzało niedochowującym wiary nieprzyjaciolom. Brzegi na kilkanaście mil tak były obsadzone kozakami, i jak mi bolesno wspomnieć, polskiemi wojskiem, iż Polacy żadnej komunikacyi, azatém i zaskilków z kraju mieć nie mogli.

Nakoniec nadeszły wiadomości z Konstantynopola, iż nas cierpiano do czasu, ale traktować z nami nie chciano. W dywanie zamieszanie wielkie, z przyczyny zagrożonej wojny moskiewskiej; ale jeszcze wten czas Turek myślał, że jest w opie-

ce pierwszych Machometów, a Ros-
syan nie uważał, jak tylko jeszcze
słabo wyszłych z haraczu Tatarów.
Muzułman przespał wieki zarówno
z swoim sąsiadem Polakiem, i oby-
dwaj drzemiąc, myśleli o dawniej
sławie i zwycięztwach; nie wiedzieli,
że już są w ośmnastym wieku, w któ-
rym się gnuśni i zniewieścili, tylko
na swoją hańbę i niewolę mieli prze-
budzić.

Nadeszłe niepomyślne wiadomości
z Konstantynopola, otwierały grób
Kraśińskiemu i Puławskiemu, jeden
tylko Potocki, podczaszy, ostatniej
nie przypuszczał rozpaczy. Zbiera
u siebie radę, na której, jako osta-
tni środek ratunku, zadecydowanem
zostało, aby wysłać kogo do biskupa
kamienieckiego. Ale kogo? o czém?
i gdzie szukać biskupa kamienieckie-
go? wypadają pytania.

Ojciec wasz, ukochane dzieci, na
tęj radzie nie był, złożony chorobą

w Filipówce, wyglądał co chwila śmierci. Tymczasem rada się godzi, aby mnie wysłać na tę ekspedycyą. Przyznają mi talenta, gorliwość i niespracowaną chęć do usługi publicznej; w tém mi oddali sprawiedliwość. Na mizerném posłaniu, pod szopą mizernego Turczyua leżący, odbieram najpochlebniejsze wzywania, wreszcie zakłęcia. Na ten odgłos odzywają się we mnie wszystkie siły, jadę do Chocimia i ledwo na nogach się chwiejący, widzę się otoczonym od wszystkich, i przyciśnionym do serca, ledwie już mówić mogącego Potockiego. Powtarza się rada, dają mi kilkanaście blankietów, podpisanych przez marszałków i rajców, aby ich użył jak chce biskup Kamieniecki, dają mi moc do kilku województw, szczególnie do pruskich robienia związków, dają mi różne listy i odezwy do kraju, piszą do biskupa, aby zawierzył wszystkiemu, co po-

wiem. Na tę całą wyprawę i szukanie biskupa w Węgrzech, lub górnym Śląsku, dają mi czerwonych złotych 20, to jest, połowę skarbu publicznego; przyjmuję wszystko i zapewniam, że tylko śmierć jedna mogłaby mi przeszkodzić do dopełnienia powierzeń. Szczupłość funduszu cale mnie nie ustrasza; głód, żebranina w zamiarze tak świętym jest funduszem uczciwym. Idzie tylko, jak się przez Wołoszczyznę i góry karpackie, gdzie byli Grecy i rozbójnicy, do Siedmiogrodu przebrać. Tu Potocki radzi, aby się udać do Potockiej, kasztelanowej lwowskiej, która także gdzieś na Wołoszczyźnie w ukryciu siedziała. Była to zacna matka szanownego Potockiego, starosty szczereckiego, który do ostatniej toni był z swoją ojczyzną. Pani kasztelanowa poradziła mi oddać się pewnemu Ormianinowi, który wołami kupczył do Siedmiogrodu i zaręczała,

iż on aż do Sygietu bezpiecznie mnie doprowadzi. Stało się. Ormianina godzę i płacę mu z mego funduszu zaraz 10 czerw. zł. za siebie i mego Łukowicza; za to daje pod nas koniki nazwane tarchy, co się tak jak kozy z łatwością drapią po Karpatach i przebywają potoki i przerwy; z kondycją jednak, abyśmy wzięli od niego wolarskie sukmany dla niepoznania przez Greków; całą zaś dyplomacyą i losy Polski zapakował w torby włosiane. Przyjąłem z łatwością przestroj, bo już i tak, prócz jednego pasa bogatego, który miałem z wyprawy ukochanej matki na sejm; ledwo miałem czém się okryć; a mój Łukowicz był prawie nagi i bosy. Ruszyliśmy w takim ekwipażu około 15. Lipca. Przybyło mi jeszcze mile towarzystwo z pewnego exjezuity, który zebrawszy sobie jakiś fundusz, oświadczył się prosto z Siedmiogrodu przebierać do Rzymu; temu oddane

zostały dyplomatyczne papiery do ojca świętego. Mnie się także wówczas równo z drugimi, a szczególnie z Kochanowskim, zdawało, że wysłanie do Rzymu jest punktem najważniejszym; jakkolwiek bądź, ten pobożny wysłaniec czyli pielgrzym, osładzał mi stan wolarza, zaganialiśmy zarówno przed nami stado, i gdzie ludzi Greków za świadków nie mieliśmy, dzieliliśmy sobie wspólne uczucia. Przechodząc przez wsie, udawaliśmy niemowłów, dla niewydania się z języka; noclegi zawsze były w polu, pod dachem drzew rozłożystych; pokarm mizerny. Osobliwie w górach żyliśmy samą tylko żętycą, tak nazwaną strawą, bardziej z serwatki, niż mleka urobioną, którą mieliśmy od pasterzy, liczne stada aż do śniegów po górach paszących. Ja, lubo co dopiero wstałem z choroby, najwytrzymalszy przecież byłem na głód i trudy. Ksiądz, mój kolega, zniósł

glód jak Franciszek Ksawery, bo się nie mógł do téj karmi przyuczyć; Łukowicz, delikatniejszy od pana, cały czas chorował na dyaryą, musiał jednak kończyć podróż. Z tego wszystkiego zawiązała się korzyść, jak się zwykle w biegu rzeczy dzieje, że nie mogąc co lepszego do jedzenia dostać, oszczędziliśmy nasze pieniądze.

O! gdybym wówczas miał jakiegokolwiek wyobrażenie historii naturalnej, ileż pociechy, ileż pożytku, ileż chwil osłodzonych liczyłbym w podróży tak ciekawej! Na grzbiecie Alpów naszych, samemu sobie prawie zostawiony, byłbym tylko z naturą rozmawiał. Zagłębiając myśl, ileż na tym wielkim warsztacie przyrodzenia, nie byłbym plodów jego znalazł! ileż w ich charakterach odmiennych nie byłbym czytał epok i rewolucyj fizycznych. Nad jednemi byłbym jak filozof rozumował i do składu

wiadomości ludzkich doświadczenia moje przyłączył; drugie byłbym jako obywatel analizował i na pożytek krajowi w korzyści oddał. Ale niestety! edukacyi niedostatek zrobił mnie zimnym i martwym jak te głązy, które przebywałem. Cała tak piękna natura dla mnie zamilkła, bo jój języka nie znałem; kraj tyle powabów mający, w tyle odmian ciekawych przybrany, tylu jestestwami ożywiony, dla mego pióra dziś nawet jest dzikim, umarłym, bo wtenczas, kiedym go przebywał, nie znałem się na jego pięknościach; jedném słowem, przyznaję się szczerze, że w skutek zaniedbanój edukacyi w Polsce, przebyłem Karpaty bez żadnej korzyści. Ukochane dzieci! przerwałem umyślnie ciąg téj historyi; niech to moje narzekanie, te wspomniane straty, nie będą dla was bez owocu. Korzystajcie z pory, korzystajcie z światła wieku, abyście równie jak ja na niewiadomość

nie narzekały. Poczciwy przewodnik szczęśliwie nas, jak przyrzekł, na granicę Siedmiogrodu do miasta Sygietu doprowadził. Udając się wszędzie zároveň z nim za wolarzów, tam dopiero zrzuciliśmy nasze maszki, nasze szermięgi, i nie tailiśmy się, żeśmy Polacy. Za głód wytrzymany w karpackiej przeprawie nagrodziliśmy sobie; miałem fundusz na furmana do Tokaju: tam się też niebawnie udałem. Rozłączyłem się z jezuitą i dowiedziałem się później, że nie wiedziano, co się z nim stało. Pielgrzymki do Rzymu nie dokonał; tak już jedna wyprawa dyplomatyczna chybiała. W Tokaju zakończyły się wszystkie moje fundusze; został mi się tylko ów pas lijoński z wyprawy poselskiej. Ale przywiązanie Węgrów do Polaka, a do tego do konfederata barskiego, nie dało mi uczuć głodu. Gościnność ich, tak w drodze jak i na miejscu, zostawia aż dotąd w mém

sereu najczulszą pamięć. Związki nasze dawne polityczne, duch jeden wolności od wieków, handel ich produktu, za który my im czasem fortuny nasze dawali, wszystko to czyniło Polaka w Tokaju osobą interesowną. Ale mnie zajętego moim interesem, Tokaj nie umiał bawić, ani rozweselić. Nie wiem, gdzie i o czém dalszą rozpocząć podróż, aż w tym natłoku myśli przedsięwziętem się przebrać na łono mego pocziwego starca biskupa na Spiżu. Przedaję mój pas i na przemian podwodą, lub pieszo kończąc podróż, stawam na miejscu oznaczoném. Opuszczam tu drobniejsze téj pielgrzymki zdarzenia i okoliczności; były one w swym czasie interessowne; niedostatek, trudy, dokuczaly nieraz ciału; bojaźń względem zachowania méj ekspedycyi, niespokojność widzenia jak najprędzėj tego, co miał zbawić enotliwych, a cierpiących braci, zasmucała co mo-

ment serce i duszę, ale to się wszystko zapomniało, gdym się ujrzał w obięciach mego Fenelona. Obraz jego dobroci i radości, który się na jego sędziwej twarzy malował, gdy mnie poznał, bo długo zdawał się wątpić, czym był w istocie owym manifestantem; tak mnie zmieniły długie cierpienia fizyczne i moralne!

Byłem podobny do marynarza, co z Indyj po kilkomiesięcznej podróży powracał. Dawszy mi staruszek odpocząć, nie bez wzruszenia wyraził, że już z Warszawy i Rossyan odebrał zagrożenia względem przyjętego manifestu i przechowywania rebellizanta. Wynurzył mi swoje niespokojność i obawę, ale mnie nie wygnał jak ów Włoch Nuncyusz z domu swojego w Warszawie. Prosił mnie, abym dla jego i mego bezpieczeństwa udał się do klasztoru Kamedulów, czerwonym zwanego. On tam potajemnie wysłał pierwój swego

kapelana i schronienie i żywność zapewnił; a tymczasem przyrzekł, że się będzie starał dowiedzieć, gdzie jest biskup kamieniecki. Zamknięty zemną w swym ogrodzie, łzami oblał ekspedycyą, którą mu pokazałem, i los nieszczęśliwy Polaków.

Wiercie mi, moje dzieci, że człowiek nie wyszedł z rąk przyrodzenia złym i nieczułym, wszyscyśmy odebrali od natury uczucia litości, w wszystkich nas rzuciła ona nasiona cnot ludzkości własnych, i człowieka od zwierząt krwiożerczych rozróżniła, ale wychowania i towarzysztwa rodzaj, bogactw, ambicyi, czyli próżności passya dziczy i zakrwawia serce człowieka.

Jestem zdania w tém wielkiego filozofa Rousseau, nie dla tego jednak, że on tak powiedział, ale dla tego, że się w biegu życia mego gruntownie przekonał. Miejcie za najświętszą prawdę, że ta wszech-

mocność i mądrość, co byt jestestwom nakazała, co każdemu oddzielne przepisała prawa, nie chciała mieć duszy człowieka, zimną i nieczułą, gdy bliźni wzywa pomocy, nie wlała w nią krwi pragnienia. Moje dzieci, te słów kilka, lubo od rzeczy oddzielnych, pozwoliło sobie serce ojca wam przydać. Ta to ludzkość i bezinteresowne poświęcenie się, wprowadziło mnie w ciche ustronie czerwonego klasztoru, znalazłem w nim wygodę i pociechę.

Już przypomnieć sobie nie mogę, blisko tam leżącego starostwa, które jeden z synów kasztelanowej lwowskiej, Potocki posiadał. Ułatwili mi Kameduli poznanie się z kommissarzem; przeprowadził się do mojej pustelniczkiej zaciszy. Gdym się przekonał, że w istocie był Potockich sługą, pokazałem mu moją ekspedycją, poznał zaraz rękę podczaszego, i zapewnił mnie, że biskup kamie-

niecki chory znajduje się w Teszynie, i że na tak ważną podróż opatrz mnie w pieniądze. Takie nieprzewidziane przygody, niby w romansach, snuły się porządkiem, aż do postawienia mnie u mety przeznaczenia. Wkrótce zostałem opatrzony w tyle pieniędzy od wspomnianego kommissarza przez Potockiego, iż ekstraordynaryjną pocztą do Teszyna jechać mogłem. Wjeżdżając tam, kazałem dłużej jak zwykle trąbić pocztylionowi. Dopiąłem w tém mego zamiaru, bo biskup naturalnie niespokojny, usłyszawszy trąbę i dowiedziawszy się, iż ktoś z Węgier jedzie, wysłał niebawmie swego faworyta kanonika, Petz nazwanego, na pocztę, dla odkrycia podróżnych.

Niespokojne i ciekawe oko kanonika, wprowadziło mnie zaraz w podejrzenie; czułem, że chciał wiedzieć, kto jestem; ekwipaż mój i Łukowi-

cza, domyślać mu się kazał, iż do odartego i pobitego korpusu konfederacyi jakiej należeć musieliśmy. Zgoła, po wzajemnych badaniach z języka i twarzy poznaliśmy, żeśmy się szukali. On się przekonał, że jadę od Baru, pobiegł do biskupa i wrócił, a ja tymczasem dowiedziałem się od pocztmistrza, że jest od biskupa Krasieńskiego, ciężko jak mówił chorego. W tém przekonaniu, zabiegłem drogę wracającemu się kanonikowi i na dowód list do biskupa pokazałem. Wkrótce przyszła mi rezolucya, abym w największym sekrecie przyszedł wieczorem do niego. Biskup naturalnie był jak najostrożniejszy, myślał nawet, że o nim w mieście wiadano. Mieszkał za miastem w ogrodzie, udając człowieka blizkiego śmierci w puchlinie. Wprowadził mnie Petz pod wieczór przy wschodzie pięknego księżycy, niby na intrygę miłosną do ogrodu. Mój Łukowicz

co mnie na krok nie odstępował szedł za mną, biskup w szpalerze postrzegłszy dwie osoby zamiast jednej, przeląkł się i zniknął. Ja jak w labiryncie się pocę, i nie wiem, gdzie się podział biskup, którego mi pokazał kanonik, i którego figurę cień powiększała. Wpadam na Petza, który mnie szuka i eksaminuje o osobę drugą; powiadam, że to mój człowiek i nieodstępny od sejmu towarzysz. Zabrał go z sobą, biskupa zaspokoił, i ku niemu mnie zbliżył. Tęj sceny powinienby był poeta być świadkiem, aby ją opisać. Co do mnie, przyznam się, iż niby ów młody adept, którego w ukryte tajemnic przybytki przed ubóstwioną stawiają wyrocznią, z niewymowném do mego biskupa przystępowałem uszanowaniem. Figura jego piękna, powiem wspaniała, nowe na mnie czyniła wrażenie; zbliżam się i milczę. On niespokojny, ciekawością miotany, niepewny kto

jestem, nie pokazał zaraz téj twarzy wypogodzonej i przyjemnej, która była potrzebną, aby mnie z mego pomieszczenia wydobyć. Wnet nastąpiły jego zapytania żywe i prędkie, moje odpowiedzi krótkie, okropne. Przeszło to niby błyskawica i piorun. Oddał się potem moment rozpacz, ja westchnieniom. Rozpoczął nowe zapytanie: bo zgola nic nie wiedział; ja nieszczęść obraz oddawałem w odpowiedzi. Godzin dwie zapewne przepędziwszy w téj niespokojności, wprowadził mnie do swego gabinetu, aby ekspedycyą odebrać; wprzód jeszcze zapytał mię, czy byłem tym posłem, który na sejmie tak śmiałą zaniósł protestacyą? Odebrawszy potwierdzającą odpowiedź, a szczególniej, że się do tego najbardziej skłaniała w skutku listu, przez niego do księcia Sołtyka pisanego (jak sobie pewno przypomnicie), rozczulił się, i odbierając całą ekspedycyą, wyrzekł:

„trzeba było szczęśliwszym losem pocziwego Wybickiego znaleźć, aby mu takiej wagi papiery konfederacya powierzyć mogła.“ Nastąpiło potem odtąd zaufanie nieograniczone między nami; aże, lubo bez blasku i wielkiego światła, miałem jednak nieco wiadomości, i tłumaczyłem się i pisałem dość łatwo, przybrał mnie do swego pióra. Cała noc zeszła na konferencyi, liczne musiałem pisać listy, które potajemnie do kraju rozesłał, aby zawiadomił o stanie rzeczy, i o przysłanym do siebie konsyliarzu barskim. Największą ekspedycyą wygotowaliśmy do Byczyny, do kasztelanowej połockiej Brzostowskiej. Ta światła i cnotliwa obywatelka, była siostrą hetmana Ogińskiego; posiadała całą ufność biskupa, i wszystko gotowa była poświęcić na usługę kraju.

Na moje żądanie wygotowała się także téj nocy ważna ekspedycya na

Włoszczyznę, do ciała związkowego; wysłany miał się trzymać ze wszystkiem mej drogi.

Nie posiadałem się z radości, czytając wyrazy biskupa, któremi się względem méj osoby marszałkom tłumaczył i ich wybór wychwalał. Nie ma przyjemności, nie ma prawdziwej rozkoszy nad tę, którą nam sprawia nagroda za prawe czyny.

Biskup zaraz po moim raporcie postanowił do Paryża jechać, i tam wojnę turecką przeciw Rossyi zeterminować. Ten rzadki Polak, do wspaniałej i pięknej osoby, uposażony był od natury świetnemi dary. Wiadomości obszerne, pojęcie żywe, myśli logiczne, styl pelen energii, który mu zapewniał moc perswazyi. Kiedy chciał kogoś o czém przekonać, pewno dopiął swego celu. Uspokoić się nie mógł, iż Puławski tak porywczo związek zrobił, jak mówił, patron, plenipotent Czartoryskich,

sprawę publiczną zdradził. Że nie prędzej mieliśmy stanąć pod bronią, ażby Turek wojnę Rossyi wydał. Pokazywał i czytał mi swoje plany aprobowane w Paryżu, wiadome w Konstantynopolu. Skarżył się w ogóle na głowy polskie i serca. W kilka godzin przepędzonych z nim, spadła mi zasłona z oczu, poznałem, że nie dość na chęci, trzeba sił fizycznych i moralnych temu, kto się na czele obrony krajowej chce postawić.

Poznał biskup po mnie, jak czuło brałem te jego przełożenia, wspominał, jak mała wysepka Korsyka, porwała się w tym roku na olbrzymią Francyi potęgę; ale jest Paoli, mąż wielki na jój czele. Zaczął się żalić na niedostatek u nas ludzi; żalił się na zupełną niewiadomość w stosunkach politycznych. Zachęcał mnie do czytania różnych książek politycznych, nawet darował mi dzieło Ma-

bli o prawach Europy; darował mi dzieło polityczne Huma i t. d. Zgoła, on pierwszy wystawił mi obraz nauki politycznej, z jaką człek wolny powinien być oswojony, gdy z natury rządu, do prawodawstwa przymuszonym zostaje.

Ale o tém na swojém miejscu; tu tylko wspomnę, że od tego światłego senatora, pierwsza się we mnie chęć zapaliła, wyjechania do jakiej akademii za granicę, jak powiem niżej.

Wracając do rzeczy, powiem, iż biskup nałajawszy robotę, pełen był nadziei, iż jeszcze błędy zreparuje; cieszy się, że mu wiadomości o stanie rzeczy przywiózłem i drogę przypiesza. Ojciec wasz, już jako przyjaciel tak wielkiego człowieka, podróży towarzyszył. Zadecydowano przebranie się, za kontusz raz pierwszy frak wdziałem, i pożegnałem czuprynę. Jeszcze w tym roku w miesiącu Wrześniu, ruszyliśmy z Teszy-

na, ekwipażem jednak osobliwym; kamerdyner biskupa Francuz, jechał przodem w koczku, niby to biskup, ja z biskupem na wózku węgierskim małym, odkrytym opodal za nim. Całe ekspedycje na mnie zapakowane. Takiego układu przyczyną była straszna obawa biskupa, ażeby w Austryi zaaresztowanym nie został. Zadziwił się, gdy mu wyznałem, iż wiedziano o nim w Teszynie, wątpić więc nie mógł, że wiedzieć będą, kiedy wyjedzie. Ależ sekret całej obawy biskupa, był generał austryacki, Poniatowski, brat króla; lękał się, aby mimo woli rządu pochwyć go nie kazał, albo całe na życie jego zasadzki nie zrobił. Biskup miał przyczynę być ostrożnym, ale może aż nadto do próżnej trwogi ostrożność posunął. Ja w tej mizernej kolasie starałem się ile możności, aby miał najwygodniejsze miejsce, miałem na pieczy wszystkie rzeczy; nocy trawiłem bezsenne, bo

mnie o to najbardziej zaklinał, abym w nocy czuwał, gdy on zaśnie. Pobudza mnie jeszcze dzisiaj do śmiechu pamięć zdarzenia przy téj okoliczności. Biskup był zasnął w nocy, jam nie spał; wtém łańcuch u sprężyny się zrywa, wózek ze strony biskupa nagle się przechyla, obudzony krzyknął: strzelono! Ja dopiero musiałem go zapewnić, że nie spał, że wiem doskonale, że nie strzelono, tylko ressor się zerwał.

Co dzień stawiałem się miłszym jego sercu; w tych najlepszych dyspozycjach, stanęliśmy w Wiedniu u pana Potockiego, niby to w charakterze posła od konfederacyi. Ale dla mnie gotowało się nieszczęście niemożności jechania z biskupem do Paryża. Tyle miesięczne trudy, niewygody, cierpienia duszy, zgromadziły we mnie żywioł choroby. Już ledwo do Wiednia dojechałem w najcięższej gorączce. Tu dopiero się

przekonałem o prawdziwem przywiązaniu biskupa do mnie, który niemożność moją jechania z nim dalej ciągle nazywał swoim nieszczęściem, a ja przez samo wspomnienie, że się muszę z nim rozdzielić, stawałem się słabszym. Odjechał, a ja w ręku doktora w stancyi Potockiego pozostałem.

Potocki był człowiek najśłodsze-
go charakteru. Przywiązany jak naj-
szczerzej do swojej ojczyzny, dla
niej na wszystko był gotów, ale
w Wiedniu nic czynić nie mógł. Nie
miał on wprawdzie tyle darów nad-
zwyczajnych, którychby taka ważna
missya wymagała, miał jednak te,
które są koniecznymi. Byłem mu
dwojako miłym, jako Wybicki poseł
i jako wysłany zbawca nieszczęśli-
wych ofiar w Chocimiu. Jego stara-
nia dzień i noc łożone, dawane wy-
gody, lubo sam był w niedostatku,
wróciły mi zdrowie po kilkumiesię-

cznym cierpieniu. Dręczyło mię mocno tylko to, że z takim człowiekiem, jak biskup Krasieński, rozłączył, że z nim do Paryża podróży odbyć nie mógł. Odebrał nakoniec Potocki tajemną wiadomość od niego, iż interessa idą dobrze, iż go minister Choiseul przyjął jak najlepiej i że Turek z pewnością wojnę wyda; aby się więc starał uwiadomić o tym podczaszego Potockiego i wysłał umyślnego do pani kasztelanowej Brzostowskiej. Wspominając tę cnotliwą Sarmatkę, muszę wspomnieć i drugą, księżnę miecznikową Radziwiłłową, której piękna dusza i obszerna wiadomości wielce ważną rolę w sprawie ojczyźnej miały.

Na te pomyślnie wiadomości z Paryża oddaliśmy się z Potockim największej radości. Potocki oświadczył, iż się puści w podróż z tą nowiną do marszałka, mnie tylko namawia, abym go doświadczone

prowadził traktem. Na ten nowy widok rzeczy zapominam, com ucierpiał, nie zważam, na co się znowu puszczam, i już się z nim w podróż nad Dniestr wybieram. Ale biskup zaklął mnie w nowym liście, abym na niego w Wiedniu czekał, z oświadczeniem, iż mnie nowa ważna czeka missya, którą mnie tylko mógł powierzyć. Uczyniłem, jak kazał, i już odtąd nie miałem więcej ani marszałka Krasińskiego, ani podczaszego Potockiego, ani Puławskiego widzieć.

Biskup Krasiński przyjechał nie długo potem przebrany, znowu na mizerną pocztową kolascę, pełen trwogi, aby nie został zaaresztowanym. Ekspedycye mi oddaje i z sobą zabiera. Powtarza mi ustawicznie, iż Galiczyn, poseł rossyjski w Paryżu, z tém się nie tail, iż gdziekolwiek i jakkolwiek bądź trzeba tę burzliwą głowę Krasińskiego sprzątnąć; że w dzień wyjazdu spostrzegł śpiega,

który był niemylnie śpiegiem księcia Poniatowskiego, generała austriackiego, że, jedném słowem, go gdzie pochwyć. Ja z méj strony uspokajam go, jak mogę, zatrudniam się płaceniem poczty i wszelkich potrzeb, on prawie nie zsiadł z wózka, który umyślnie stary w Wiedniu kupił. Nie było z nim, prócz mnie, nikogo więcej. Kamerdyner miał rozkaz koczem później przyjechać. Do tyłu zatrudnień narzucił mi jeszcze dobry biskup, jako wielki myśliwy, pielęgnowanie fuzyi wersalskiej. Cóżbym nie był dla niego uczynił! Dopiero o jedną pocztę od Tszyna, miał zamiar spocząć, i tam mi odkryć swoje obszerne zamiary. Tszyn był mu już podejrzany, ile, że tam zaczęli się Polacy zjeżdżać, względem których obywatelstwa był wątpliwym. Wybiera więc Byczynę i tam mnie prosto z wszystkiemi papierami do domu kasztelana połockiego, Mosto-

wskiego, wysyła, sam zaś doczekawszy kocza, na czas krótki pojechał do Teshyna. Tym czasem już mnie był komunikował méj nowéj missyi zamiary. Miałem jechać jak najprędziej do Berlina, a ztamtąd do Gdańska. W Berlinie dla widzenia jeneralowéj Skórzewskiéj, w Gdańsku rezydenta francuzkiego i Czapskiego, wojewody malborskiego. Trzeba, żebym wam wprzody powiedział, że jeneralowa Skórzewska, z domu Ciecierska, z wychowania klasztornego, mlodo dla obszernych majątków za mąż poszła. Dopiero zamężna, przez ten wrodzony, jaki miała gieniusz, oddała się naukom. Piękna, mloda, bogata, nie lubiła jednak cichego samotnego ustronia, zwykłego muz i filozofii mieszkania. Zamilczę, jak daleko ta rzadka Polka postąpiła w wiadomościach; nie opisuję tu bowiem jéj życia, powiem tylko, co do tego dzieła należy, iż nie przez powaby

i wdzięk płci swojej, ale przez dowcip i smak w literaturze pozyskała przyjaźń Wielkiego Fryderyka. Wiedział o tém biskup Krasieński, i już nie wiem, przez jakie wypadki wskazano mu w Paryżu, aby przez nią obraz konfederacyi barskiej doszedł Fryderyka. Otóż zamiar missyi mojej delikatnej do generałowej Skórzewskiej. Co do drugiej przekonywał mnie biskup, iż w Paryżu za najważniejszy punkt mu podano, aby Prusy polskie z miastem, szczególnie Gdańskiem, do powstania narodu polskiego należały. Opuszcze tu widoki w tém polityczne, wspomnę tylko, że z tych powodów wkładał na mnie nasz negocyator obowiązek, abym przez Zboińskich, wojewodę malborskiego Czapskiego, i wszelkie, jakie tylko znajdę związki, tak ważną ojczyźnie dopełnił przysługę. Miałem listy do Zboińskiego i do rezydenta francuzkiego w Gdańsku; szło o to szczególnie,

aby on swój dwór zapewnił o dobrej dyspozycyi Prus polskich z miastami; miałem go więc uwiadomić o osobach, z któremiby się mógł znosić i korespondencyą z biskupem przez cyfry ułatwić.

Taka się dla mnie otwierała kolej w roku 1769. a w roku dwudziestym drugim życia mego: poprzędziłem biskupa do Byczyny. Brzostowski kasztelan połocki, mający majątek Czarnożyły, należał do ludzi najlepszych i cnotliwych obywateli, a jeżeli natura i edukacya nie dały mu stósownych do urzędów i okoliczności przymiotów, tém więcej za to jego połowicę uposażyły. Pani kasztelanowa należała do rzędu najgodniejszych i najświetlejszych kobiet, jakie znałem. Czemuż me pióro nie dość mocne, czemuż okoliczności nie dość mi są przyjazne, abym obrazy Polek mógł zebrać, które w życiu publiczném znałem, a które patryoty-

zmem i wiadomościami, pleć naszą przeszły.

Biskup także wkrótce do Byczyny przybył, i Byczyna stała się centrum projektów. Moja ekspedycja najpierw ukończoną została. List do pani generałowej zawierał wszystko, co się do położenia rzeczy ścia-gało; sam biskup go pisał, nadzieję w Turku, w Francyi, a nawet w Austryi wystawiał. Szło, czyby nie można do króla pruskiego przemówić, a do tego usta i pióro generałowej wybrane zostały. Bo lubo Krasieński przyłączył swe myśli, jakby do króla pierwszy krok uczynić, zostawił jednak negocyator zupełną wolność czynienia. Zareczył przysłanie dostatecznych pieniędzy i kominikacyą z rezydentem francuzkim w Gdańsku, panem Gerard. W tém wszystkiem prosił o danie mi zupełnej ufności, cokolwiek jeszcze ustnie powiem i jakie do kominikacyi korresponden-

cyi potrzebnej podam, i zostawię komunikacye. Ustna moja konferencya miała odkryć pani jeneralowej najszczególniej zamiary podróży mojej do Gdańska, dla widzenia się z rezydentem francuzkim, Czapskim i t. d. Wreście zrobił kredyt biskup na dzieście tysięcy czerwonych złotych do dysponowania u bankiera gdańskiego.

Wyjazd mój tak naglony, wstrzymał przybyły od Mostowskiego, wojewody mazowieckiego sekretarz, całą jego ufność posiadający. Nie wchodziłem w tajemnicę, z téj strony układów; należały one do obszernych planów powstania, jak miarkowałem. Tymczasem przepisano całą moją ekspedycyą, dla komunikacyi wojewodzie Mostowskiemu, z zaleceniem, abym dalsze wypadki jemu pilnie udzielał, ale to nie nastąpiło; a w tajnych powodach wygnania się dobrowolnego wojewody, może te sekretne konferencye udział miały, lubo

jak wiedzieć mogę, nigdy na świat nie wyszły.

Tymczasem Michał, zda mi się, Brzostowski, z zapakowaną u maźnicy ekspedycją, wysłany został do Warszawy i Litwy.

Przy moim wyjeździe nie miał biskup ambarassu, nie wiedząc, ileby mi dać na drogę, ztąd przy wydanych pieniądze, prócz cokolwiek gotowizny, dał mi fanty, złoty zegarek i tabakierkę na potrzebę. Błagałem go, aby nie uszczuplał swoich funduszów, aby napowrót odebrał tabakierkę i zegarek, że moja ekonomia, zresztą bliskość Gdańska, zastąpią małość zapasu; że z przykłady doświadczył, iż z dwudziestu czerwonych złotych byłem przyjechał do niego z Chocimia. Rozstając się z nim, widziałem, iż się chciał zbliżyć do granicy dla komunikacyi z krajem, że ja do niego miałem wracać, ale już go oczy moje nie widziały więcej, serce tylko moje

poniesie mu do grobu najczulszą pamiętkę. Był on wpadł w ręce Rosyan, pędził potém życie samotne, był raz w Warszawie, wszędzie mi oddając sprawiedliwość. Chciałem pobiedz umyślnie, aby go widzieć w stolicy, gdym się dowiedział, iż ją był już porzucił. Ale wróćmy się do rzeczy. Missya moja, mogąca mieć dla wielu największe powaby, dla mnie niosła uczucia cierpienia. Oswajając się z interessami publicznemi, czulem coraz bardziej moję nieudolność i prawie wszystkich innych. Dotąd jeden tylko biskup Krasiński do dyplomacyi, do obozu nie było nikogo. Wewnątrz ów duch narodowy, na którym cała rachuba, zasnął. Zapaly cząstkowe łatwo przytłumione zostały. Zgoła, jak zwykle w narodach zepsutych, magnaci, a pod nowym królem, bogacze nowi toż byli, co i w Rzymie przy jego schyłku. Malarz najdoskonalwszy sere ludzkich, Tacyt mówiąc

o nich powiedział: „Ceteri nobiliarium novis ex rebus aucti, tuta ac praesentia quam vetera et periculosa valent..“ Pokazało się nieco obywateli za granicą, ale tych raczej miłość własna, jak miłość ojczyzny wyprowadziła. Nikt się nie chciał usługi publicznej podjąć, ale każdy był pretensyi wielkiego obywatela. . . . Utyskiwał na to biskup, pod hasłem jednak: „nihil desperandum“ rozjechaliśmy się.

Przyjechaliśmy do Berlina, imię grafowej Skórzewskiej, powszechnie było znane. Jeżeli dworowi i uczonym znana była z przyjemnego tonu i talentów, powszechność znała ją z okazałości, z jaką w kraju ekonomicznym żyła, i dom swój utrzymywała. Ale co większa, moment mego przybycia, wszędzie ją czynił głośną, powiem, cały Berlin nią tylko był zajęty, z przyczyny chrzcim okazałych syna jój Fryderyka. Król

go trzymał przez swego gubernatora Berlina, Ramina. Królowa była osobiście, familia cała królewska, powiedzialbym, były kumy. Ja dwa dni przed tą sceną przyjechałem, dowiedziawszy się o niej, sądziłem, że będzie pomocą do interessu, aby przy tém święcie położnica odebrała tytuł negocytoroki. Domyślcie się, jaką impressyą na umyśle moim czynić musiało imię Skórzewskiej, której znać nie miałem honoru. Za granicą znana pod imieniem „Sawantki“ i przyjaciółki Fryderyka Wielkiego, ta mi się dała widzieć w blasku całej okazałości dworskiej.

Nie chciałem dawać méj missyi charakter wielkiej tajemnicy; ale razem zbytnej otwartości, bronila roztropność. Ułożyłem sobie najpierw, jako przejeżdżający Polak oddać jéj wizytę; powiedziano mi, że jest niewidzialną. Szczęściem przestrzega mnie w tem kapitan Druw, który

poczciwość swoje całkiem miał na twarzy wyrytą. Nie zawiódłem się. Pocziwy ten Żmudzin zachował prawdziwie owę staropolską cnotę. Po niejakiój konwersacyi przekonałem się, iż mu się mógłem ze wszystkim zwierzyć. Powiedziałem mu, iż mam list do pani jenerałowój od jój kuzyna (tak się bowiem nazywał biskup Krasieński), iż jadę z Byczyny.... Ledwo to wyrzekłem, Druw, jako pocziwy Polak, pobiegł do pani jenerałowój, aby mnie przyjął.

Dorozumiawszy się, w jakim interesie przyjechałem, że zapewne w interessie konfederacyi, wraca się, i pod imieniem plenipotenta pani Ciecierskiej, matki, na pokoje mnie wprowadza i do gabinetu Jejmości wpuścza.

Nie do mnie malować jój obraz. W jój całej postaci kształtnie zbudowanój, malowała się piękność dawnych Greczynek, ich miała i dow-

cip, jój oko ożywione i plynne usta świadczyły; na ustach osiadło to przymlenie słodkie, lubym naszym Polakom właściwe. Po krótkiej rozmowie i przeczytanym liście, dała mi uczuć ważność missyi, ale pozwoliła razem zapewnić biskupa, że pójdzie za jego przykładem i wszystko dla ojczyzny tentować będzie.

Cnotliwa Polko! czułem wtenczas, jak twoje westchnienia dobywały się z gruntu najpiękniejszej duszy. Powiedziawszy mi kilka słów pochlebnych z obrazu, jaki jój o mnie uczynił biskup, przydała, iż nie będzie zalecać jak największej ostrożności, iż do obszernej rozmowy, przeczytania papierów, ułoży dzień po chrzcinach, na których bądź jako domowy, z kapitanem Druwem, zwykłą łagodnością dodała. Przestrzega jeszcze, iż konfidentką tajemnicy być musi jój siostrzenica Kunegunda Drwęska, która od niej była nierozłączną. Taki

był początek szczęśliwy méj missyi, a illuzya mych dobrych nadziei, jak najpochlebniejsza. Czynię o tém raport biskupowi, jestem na święcie chrzcin, widzę piękną Skórzewską, podług tonu wielkiego świata, na tronie położnicy, koło niéj cyrkul z krwi królewskiej. Reszta pokoi pełna samych książąt, grafów, jenerałów, widzę w wielkiej okazałości ceremonial na urobienie nowego chrześciana. Gubię oko nieprzyuczone do blasku, w ustrojeniu pokoi, w rozporządzeniu światel, w zastawieniu stolów, w bogactwie liberyi, . . . wszędzie smak i przepych mnie zachwycał; ale przyznam się szczerze, że niby ów pleban, co same wieże i parafie widział na księżycu, ja w tém wszystkim widziałem tylko moję negocyatorkę, i z tych powierzchowności wymierzałem jéj kredyt, znaczne wnosilem skutki.

Tém byłem zajęty jako obywatel, ale z nagłą znalazłem i jako człowiek nieznanej dotąd lubości dla serca przedmiot. W całym tym tłumie płci pięknej postrzegam jedną i już nie widzę, jak tylko ją samę; ona sama tylko w mych oczach piękna, miła, ona figurą, kształtem, wdziękiem panowała reszcie. Skromność nawet w jéj stroju, smaku pełnym, rzucała cień na błyszczadła i blask bogactwa. Niewinność twarzy rozwijała na tle białém te róże jeszcze w pączku, które na zwiędle sztuka kładzie na próżno. Daremnie od niéj stronie, zajęte, nieznanie w sercu uczucia odbierają mi wszelką spokojność. Przedzieram się do Druwa i pytam się o imię téj piękności; on postrzegłszy moje pomieszanie, odpowiada z uśmiechem: Kunusia, dodając po chwili: Kungunda Drwęska, siostrzenica pani jenerałówéj. Zamilkłem. — W momencie przypomniałem sobie, iż miała

dzielić tajemnicę méj missyi, że będę szczęśliwy ją widzieć. Tymczasem zdradził mnie mój ukochany kapitan; zbliżony do Kunusi, wskazał jój zwycięstwo, już była o mnie uprzedzoną od ciotki. Niebawnie znalazła przyczynę przybieżenia obok zamyszonego i słów kilka przemówionych rzuciły we mnie téj najczulszój niewinnej miłości iskrę, która już przez sześć lat blisko nie wygasła. Ona była potém pierwszą moją żoną. . . . Tak jest niewyrachowane przeznaczenie człowieka!

Amant zagorzały nie przestał być konfederatem. Na wyznaczonym dniu przez panią generalową przyniosłem całą dyplomacyą *) i odebrałem od niéj rozkaz jechania do Poczdamu, gdzie już zdecydowała się podać no-

*) Niechcąc przerywać historii życia, w dodatku opiszę obszerniej początek negocyacyi biskupa w Paryżu, i jój skutki.

tę królowi na piśmie. Przyjęła do niej wiele myśli biskupa, przydała swoje, i to nie bez tajemnej porady niektórych faworytów królewskich. K..., sekretarz, mało jój, jak mi się zwierzyła, robił nadziei. Uczynię jednak, powiedziała ta cnotliwa Polka, uczynię ten krok, gdyby mi nawet miano nakazać wyjechać z Berlina. Napisała wyraźnie, iż przez związki krwi i jedności sentymentów połączona z naczelnikami konfederacyi, przyjęła od nich obowiązek przełożenia Wielkiemu Frydrykowi, iż w obronie niepodległości Polski stawając, gruntuje swe nadzieje na wspólnym interesie, który te dwa narody z sobą wiąże i silnym wdaniu się jego do ukończenia wojny, która spokojność narodu sąsiedzkiego, jemu przyjaznego, na niebezpieczeństwo wystawia i t. d. Ale do tych powodów politycznych wkręciła zręcznie interes własny, dodając, iż wojewódz-

twa Wielkopolskie jednomyślnie za marszałka powstania i siły zbrojnej, chciały wybrać generała Skorzewskiego, męża jej, i że ona odroczenie decyzji na swym mężu wymogła, dopóki zdania króla jmcie nie zasięgała, który tyle względów dla niej i całego domu jej okazywać nie przestaje.

To zapytanie niby to o sobie, służyło za powód zapytania się o publiczności

Powszechnie były zdania, iż król nie odpisze i widywać jeneralową zaprzestanie. Tymczasem zaraz na drugi dzień odpisał i przytomną w Poczdamie na obiad zaprosił. Odpowiedź jego miała charakter niejakięj otwartości, niezgodnej z gabinetową polityką. Nie zachęcał do wojny i zamieszki, w celu jakby się zdało, do osłabienia kraju na polów przeznaczonego, nie rzucał cechy wzgardy na naczelnika konfederacyi barskiej; radził im tylko, zastanowić się, z ja-

ką siłą rossyjską poszli w zapasy. Co do niego, wyraził się, iż w stanie, w jakim były rzeczy, w pośrednictwo wdawać się nie może. Chciał, aby jenerałowa *ses compatriotes* o tém zawiadomiła. Co zaś do męża, napisał, iżby mu radził być tak szczęśliwym w polityce, jak jego żona w filozofii. Korrespondencye tak ciekawe były w moich papierach, w ostatniej rewolucyi zatraconych, które nie wiem, czy już kiedy odzyskam!

Odpis ten nie był taki, jakiegośmy sobie życzyli, ale ani taki, jakiegośmy się spodziewali. Jenerałową, jak nigdy, z większą traktował grzecznością na obiedzie i najwięcej o różnych familiach polskich rozmawiał, nie przepomniawszy księcia Karóla Saskiego, który miał za sobą Kraśińską, kuzynkę, przydał, pani jenerałowej. Przyjaciele, którym to wszystko komunikowała jenerałowa, nie kazali rozpaczać, z przelożeniem, iż

więcej bez skompromitowania siebie tak wielki król napisać nie mógł.

Kazano czuwać na porę i powtarzać podług okoliczności odezwy. Wszystko się to opisało biskupowi, i wyjazd mój do Gdańska sama jenerałowa nagliła, dla komunikowania się z rezydentem francuzkim, dla poznania, co zrobią Prusy, to jest Gdańsk i trzy województwa pomorskie, chełmińskie i malborskie, z obowiązkiem, abym znowu do niej powracał do Berlina. Piękna Kunusia, której najśłodszą duszę i charakter poznałem, czyniła mi bardzo przykrym mój odjazd. Jenerałowa, przed którą moje westchnienia zataić się nie mogły, powtarzała z tym uśmiechem, z tém przymileniem przejmującym, a jój właściwém: Po zakończonej konfederacyi dostanie się piękność nadgrodą cnocie!

Zbliżanie się moje do brzegów bałtyckich, rodziło we mnie najczulszą

rozkosz. Widzieć miałem po kilku-letniem tulactwie, gniazdo moje, ukochaną matkę; przestrzegalem ją listem, abym ją na drodze mógł widzieć, i tam od niéj odebrałem przyciśnienie do serca, i błogosławieństwo.

O! jakże to moment był drogi dla mnie w życiu! ukochane dzieci! umiałem ja zawsze kochać i szanować starszych, a cóż dopiero rodziców, i dla tego, gdy wszystko straciłem, dostały mi się w nagrodę, ufam, serca wasze.. — Razem z drogą matką pojechałem do Gdańska, miejsca, które mi pierwsze lata młodości méj przypomniało, a nadewszystko stratę stryja, archidyakona pomorskiego.

Jadąc przez przedmieście zwane Szotland, mijalem wspaniałą budowę szkół, do których chodziłem i wołałem: aby mi wróciły tyle lat straconych; żalowałem uczniów, których

tam postrzegłem, iż równie jak ja nie, a przynajmniej bardzo mało się w nich nauczą. Matka moja, postrzegłszy widoczne moje zamyślenie, z uśmiechem odezwała się: „Cóżto mój Józeku, jeszcze się gniewasz na plagi?“ — „Ach tak, kochana matko, odpowiedziałem, bo bito, a nie uczono.“ Nastaly inne lube przedmioty, zobaczyłem dawne znajomości, wszystkiemu jednak towarzystwo matki ukochanej dodawało powabów; ale moje fatalne przeznaczenie chciało, abym zaraz od młodości żył w ustawicznym ruchu, w ustawicznej burzy; te spokojne i szczęśliwe chwile, które na łonie niewinnej przyjaźni, na łonie rodziny się mieszczą, były mi prawie od dzieciństwa odmówione. Przestrzeżony jeszcze w Berlinie, abym ile możności potajemnie się ukrywał w Gdańsku, aby mnie śpieg wszystkich Polaków, rezydent rossyjski nie odkrył, musiałem to méj matce po-

wiedzieć, a tak rzadziej się z nią widywałem.

Dom księżnej Sanguszkowej, z domu Dönhoff, która powtórnie była poszła za Józefa Rogalińskiego, był schronią wszystkich dobrze myślących Polaków. Mieszkała na przedmieściu Gdańska, Nowe Ogrody zwaném i do niej przez Sarneckiego, obywatela wielce słusznego, wprowadzony zostałem. Lękała się, jak wszyscy, zemsty rosyjskiej, spustoszenia dóbr, prześladowania, ale i ta zacna Polka należała do liczby obywaterek, które energią, rezolucją ratowania ojczyzny zawstydzaly pleć naszą, zawstydzaly magnatów polskich, zniewieściałych, a raczej zbabiałych w gnuśném życiu egoistów, co siebie tylko w całym tworze świata widząc i ceniąc, o swoje tylko mizerne jestestwo byli troskliwymi. Nie tak podło myślała Sanguszkowa, niech przez wdzięczność i szacunek najpóźniejszy Polak

wielbi i święci jój imię. U niój były wszystkie obrady, ona jedna, powiem, dzieliła swe dochody na wypadające potrzeby, z jój skarbu i moje dalsze publiczne podróże zostały zaspokojone.

Rezydent francuzki już był przestrzeżony o mnie, przyjął mnie z zwykłą sobie grzecnością; a co do mego zamiaru, było jak najkorzystniejszém to, iż Francuz o całém dziele konfederacyi dobrze myślał, i o duchu Pomorzan nie wątpił.

Do takiego myślenia przyprowadzili go Zboińscy, ludzie wiele za przeszłego panowania znaczący. Była to familia z Prus polskich. Najstarszy z braci, pelen wiadomości i tego tonu dworskiego, który świat cały daje, był używany od Brühla do najważniejszych interessów, jakie podówczas być mogły. Nowego panowania i przez patryotyzm i przez związki z domem saskim, był otwartym

nieprzyjacielem. Jego kładę podług mego przekonania w równi z biskupem Krasińskim co do obszerności światła i wiadomości działań politycznych; ale osłabione, raczej rozpięczone na dworze ciało Brühla, ujmowało duszy energii. Namyślał się, ważył, gdy czynić wypadało. Byłto jeden z tych naszych cnotliwych Polaków, co w czasie uśpionej burzy, w czasie pokoju, umiałby sterem kierować, ale gdy spienione fale na skały i przepaści łódź pędzą, traci głowę i ręce i sam od kogoś innego wygląda ratunku i pociechy. Zboińskiego (starostę, zda mi się bydgoskiego) o którym mówię, orzeźwiły listy moje, które do niego miałem od biskupa Krasińskiego. W sobie całą nadzieję poruszenia prowincyi pruskiej pokładał, w sobie najdzielniejszego negocyatora przez opinią publiczną widział. Powtarzam mu ustnie zaklęcia kasztelanowej Potoc-

kiej, jenerałowój Skorzewskiej, biskupa kamienieckiego, powtarzam mu najtajemniejsze naszych widoków nadzieje, że tylko Wielohorski, Zboiński, Roztworowski, starosta żytomirski, były owe kolosy kraju do negocyacyj zagranicznych od konfederacyi upatrzone; że hetman wielki litewski, Ogiński, da ruch całej sile zbrojnej wewnętrznej, aże do wysłania jeszcze do Porty, namówiony zostanie książę Radziwiłł, albo jaki inny figurant, z familii Turkom znany, albo jaki duży i tłusty senator. Muzułmany pewno się do naszej sprawy przywiążą, ile, że ten poseł ze wszystkim się do posła francuzkiego tam stósować będzie. Po kilku godzinnych elektryzacyach politycznych, po przeczytaniu méj całej ekspedycyi, osądził Zboiński za rzecz potrzebną, widzieć jak najprędzej Czapskiego, wojewodę malborskiego, gotuje mi instrukcyą, i radzi prze-

strzedz go przez umyślnego, aby mi miejsce konferencyi wyznaczył. Tymczasem niepewnością miotany, i cały w bojaźni, aby przez Rossyan porwanym nie został, zaklina mnie na sekret, i żebym nic o nim, ani do Buczyny, ani do Berlina nie pisał, za szczególny kładzie obowiązek; wreszcie znajomość mi z wielkim patriotą, księdzem Rybińskim, opatem oliwskim ułatwia, i u niego już tylko zemną się widywa.

Wspomniony opat przez swoją gorliwość, wiele w ów czas znaczył w stanie politycznym prowincyi pruskiej, a przez swoje obszerne wiadomości i związki dawne z dworem saskim, powszechną miał konsyderaacyą. Ta znajomość z interessów publicznych poczęta, zawzięła dla mnie przyjaźń osobistą tego zacnego i światłego męża, którą mi aż do grobu zachował. Zamilczę tyle drobniejszych okoliczności, które się z natu-

ry rzeczy snuły, powiem tylko, iż wojewoda malborski wyznaczył miejsce widzenia się w Sztumie, w województwie malborskiem. Tam z Sarneckim zaraz wyjechałem, odebrawszy od Zboińskiego listy i uwiadomiwszy o swojej podróży, rezydenta francuzkiego, jak mi było zleconém. Familia Czapskich mniemała się natenczas być pierwszą z patrycyuszów, iż tak powiem, kraju Pomorza, a wojewoda pomorski stawał na czele swojej familii. Panowanie ich nie było podobne do panowania Radziwillów, Czartoryskich, Potockich i t. d. w innych prowincyach, gdzie ci magnaci placili, protegowali, a za to rozkazywali. Czapscy u nas nie byli dość bogaci, aby przekupywali, a my Prusacy żyjąc jeszcze w starożytnej skromności, nie mieliśmy potrzeby się zaprzedawać. Byli to prawdziwie starsi bracia, na łonie zgodnej i skromnej familii, i to był

powód, który im zwykle dawał pierwsze miejsce w sprawie publicznej. Wojewoda malborski do okazałej figury i prawdziwie poważnej powierzchowności łączył przyjemność, i nie był bez wiadomości, do urzędu jego stósownych; kochał i siebie, należał, jak powiedziałem, do téj patryotów liczby, co w pokoju byli dość zdadni, aby sterem kierować, ale aby w burzy ratować, do tego brakło im na środkach i energii. Po niejakiach konferencyach, z odebranych ekspedycyi wynikłych, stawiał na przeszkodzie zwykle trudności, odwoływał się zresztą do Zboińskiego, Rybińskiego, a w protestacyi najgorliwszych swych chęci, które, pewien jestem, że były szczere, przekładał, aby bez kompromitowania miast pruskich i senatu, stan najprzód rycerski gotowy był uczynić związek w województwie pomorskiem. Na marszałka szczególnie zdanego

radził Michała Lnińskiego, podwojowodę pomorskiego, ukochanego mego wuja. Te i inne rady, wzięliśmy ad referendum; a odpowiedzi, które Zboińskiemu i biskupowi uczynił, miały charakter rezolucyi obywatela, który o losie ojczyzny nie rozpacza, ani się od jej ratowania nie odsuwa. Byłem bardzo szczęśliwy, gdy Rybiński i Zboiński dość z wojewody byli kontenci. Pamiętając jednak, co mi od Wiednia najbardziej inspirował biskup, aby miasta pruskie w związek wciągnąć, przekładałem to Zboińskiemu i opatowi. Odpowiedzieli mi, że to być jeszcze nie może, że rezydent francuzki, zna dobre dyspozycje pierwszych miast Gdańska i Torunia, że wreszcie o tém biskupa zaspokoją. Po téj decyzji osądzili za pierwszą potrzebę sprowadzić Lnińskiego, aby podług rady wojewody, wcześniej go na marszałkowsstwo zdeterminować, i już potajemnie

rzeczy, aż do upatrzonój pory urzą-
dzać i t. d. Lniński był moim wu-
jem, a prócz tego krwi związku,
szczególnym przyjacielem. Przybył
wezwany do Gdańska, do domu
księżnej Sanguszkowój. Widzenie
i uściśnienie jego, należy do tych
momentów szczęśliwych, jakich mało
doświadczyłem... Natura go uposa-
żyła pięknymi dary, ale to było ziar-
no zasiane w cieniu, którego pro-
mień światła nie ożywia, ani zatém
nie rozkrzewi, ani owoc odpowiada
nadziejom. Dość powiedzieć, że
Lniński urodził się, i młodość stra-
cił za panowania Augusta III.; to się
prawie wiek liczył, dla całego ucy-
wilizowanego świata, dla Polaków
był tylko zero.

Wszakże w wiekach Piastów,
nazwanych najdzikszeimi, miał przy-
najmniej Polak swój charakter i je-
zyk pewny. Bolesławowie nie wiele
pisali, ale bili, żyli w zamieszaniu,

bo cały świat był na ów czas burzliwy. Nie mieli bibliotek, ale szopy i namioty pełne dzielnych wierzchowców, ale skarbce napelnione pod stróp terlicami, pancierzami, łuki i sajdaki. Pokój Jegomości zdobila zawieszona na kołku burka, kord i karabela. Gabinet Jójmości stroila kądziel, krosienko i klucze.

Za Augustów przejełsiemy tylko zle, tylko zarazę wieku; światla jego nie doszly nas łaski. Lecz gdzież się zapędzam? ukochane dzieci! załem przejęte serce, nigdy tych czasów nie mija, aby na nie przekleństwa nie rzucilo! dla nich jesteśmy bez ojczyzny! wieleż razy dla méj spokojności rzucilem pióro! wieleż podarłem pism, co tych wieków obraz malowaly.

Lniński, jako obszernego światla i pewnego charakteru człowiek, nie rozwłoczył się długą ekskuzą. Przyjmę, rzekł, marszałkowstwo, gdy mnie

powszechna wola do tego wybiera; ale na czele siły zbrojnej postawcie żołnierza, ja rzecz uorganizowawszy z przydanymi konsyliarzami, przebie-
rać się czasem będę do konfедера-
cyi jeneralnej, gdzie rady potrzeba i
reprezentacyi prawnej naszej. Co się
tyczy zawiązania, kończył dalej, kon-
federacyi u nas, tentujmy, czyby choć
na czas nie szło uśpić Warszawy i
dowódcy rosyjskiego. Kto zyskał
czas, zyskał wszystko; wyślijmy do
Warszawy i dowódcy rosyjskiego,
iż zagrożeni napadem zbrojnych ludzi
województw sąsiedzkich, musimy się
podług praw naszych i dawnych zwy-
czajów uzbroić i na granicach naszych
dla bezpieczeństwa prowincyj posta-
wić i t. d. Ledwo myśli skończył,
pojął je Zboiński, i jako głos geniu-
sza do wszystkich serc trafił. Ap-
probował tę myśl rezydent francuzki,
i tajemni przyjaciele sprawy Gdań-
szczanie. Szło tylko znaleźć Mu-

cyusza Scewolę, któryby śmiało ten zamiar dworowi i Repninowi przedłożył, a sekretu nie wydał; mnie zaś przyprawiono znowu skrzydła, żeby lecieć do jenerałowej Skórzewskiej dla komunikowania projektu, dla uczynienia jój wszelkich przełożeń, aby swojego męża jenerała dla przyjęcia w tak spokojnym zamiarze regimentarstwa jeneralnego prowincyi pruskiej skłoniła. Stałem w Berlinie i rzecz przedłożyłem jenerałowej; odpowiedziała mi, iż ma przyczyny dorozumiewać się, iż téj propozycyi nie przyjmie, ponieważ związki wielkopolskie nie czyniąc sławy ani rzeczy, ani województwom, zupełnie go zraziły; nakoniec dochodzi z wielu okoliczności, że się nowa burza zbiera nad krajem, bo król pruski powiększy liczbę jego nieprzyjaciół.... Zgoła z żalem opuściłem panią jenerałową jako konfederat, z żalem piękną Kunusię, jako stały amant.

Porzuciwszy Berlin udałem się do Drezenka, gdzie się generał Skórzewski znajdował, abym zupełnie méj missyi zadość uczynił; o czém wszystkiém radę w Gdańsku uwiadomiłem. Skórzewski, najcnotliwszy obywatel, z dzieciństwa w szkole żołnierskiej wychowany i u kadetów w Dreźnie edukowany, był zapewne w owym czasie jeden z tych rzadkich Polaków do uorganizowania i do postawienia się na czele korpusu siły zbrojnej. Projekt pruski bardzo mu się podobał, uczynioną ofiarę z czułością przyjął; i wierzyć miałem powody, że pomimo słabości zdrowia byłby do Gdańska pojechał, gdyby to była potwierdziła żona.

Na te moje doniesienia Zboiński sam chciał ruszyć do Byczyny i do Berlina, aby dzieła dokończyć i nadziejom o sobie odpowiedzieć. Ja jeszcze raz pojechałem do Berlina, ztamtąd, jeżeli się rzecz powiedzie,

z powrotem do Drezenka. Ale jenerałowa nie chcąc się deklarować za projektem, w obawie, jak mi się zwierzyła, utracenia całego majątku, sama na pilnowanie już podobno odtąd męża do Drezenka pojechała. Utraciłem więc zupełnie nadzieje i do dalszych wypadków pozostałem w Berlinie, oddając się ile możliwości naukom. Tam raz pierwszy w cichym zakątku, uczęszczając tylko do członka akademii, pana Choisela, którego przez jenerałową poznałem, zaczynałem się oswajać z nazwiskami, powiem, nauk, z imionami autorów, z zamiarami akademii, do czego mi, jak wspomniałem, otworzył drogę biskup Krasieński. Ale konfederacya trafiła do méj samotności i burzyła spokojność. A iż opuścę smutną i coraz nieszczęśliwszą postać interesów politycznych, powiem, iż na powtarzane zaklęcia mego wuja Lnieńskiego, już marszałka konfederacyi pomorskiej, musiałem się

z spokojnemi murami pożegnać i do nowego się jego obozu udać. A lubo na moje nieszczęście zaczynałem tracić nadzieję, lubo obraz obrony naszej w kolorach jak najpozorniejszych miałem przed oczami, szedłem jednak za głosem mego powołania i słuchałem starszyny. Marszałka pomorskiego zastałem w Swieciu, miasteczku pomorskiem nad Wisłą. Sekretarzem konfederacyi był Ludwik Zakrzewski, syn wówczas sędziego poznańskiego. Przez wrodzoną skłonność do nauk dał sobie sam ten światły człowiek edukacją i doszedł wiadomości wiele. Chlubilem się z jego przyjaźni, którą mi dochował aż do grobu; szacunek dla niego ze mną razem chyba dopiero umrze.

Przez obrot dany swemu powstaniu w pismach publicznych, zamówił na czas niejaki marszałek oko dworu i Repnina, i już do dwóch tysięcy ludzi zebrał sobie spokojnie,

lecz wydał się wkrótce podstęp i tém zapalczywszej zemsty trzeba się było spodziewać. Wypadło więc na zbliżającą się większość sił nieprzyjaciela ruszać ku innym konfederacyom w głąb kraju. Pojechałem w tém po ostatnią radę do Gdańska; uznano, że już oddzielnie oczekiwać nieprzyjaciela nie można było.

Rezydent francuzki ręką własną słów kilka mi powierzył do marszałka, że konfederacya jeneralna formująca się w Węgrzech w Eperies, będzie uznana przez Turka i Francyą, za reprezentacyą narodową; że do niej wysłany będzie agent francuzki sekretny, że nawzajem konfederacya wysłać będzie musiała tymczasem emissaryuszów i różne kroki polityczne czynić; że w takim stanie rzeczy marszałek Lniński, z światła swego znany, jak najpotrzebniejszy jest w jeneralności, że potyczka przez niego tutaj wygrana, nie może mieć

żadnych skutków. Tegoż zdania byli i wszyscy inni, zostawując woli marszałka wybor rejmentarza. Z takimi odpowiedziami zastałem już marszałka w marszu ku Wielkopolsce, który przeczytawszy pisma, co mu przywiozłem, komunikował mnie także te, które w mojej niebytności od marszałka Malczewskiego konfederacyi poznańskiej odebrał. Jeneralność najściślej zaleciła ordynansem Malczewskiemu odesłanie ekspedycyi Lnińskiemu, w której go wzywa do jak najprędzszego przybycia do niej w osobie. Namysła się już tylko odtąd, komuby oddać kommandę i w tém aż do Kcyni zaśliśmy. Był tam z swoim korpusem Mazowiecki, marszałek dobrzyński, był kommanderujący korpusem jednym wielkopolskim Paweł Skórzewski, który odtąd był tyle słynny w kraju, z najczystszo patryotyzmu, i który zawsze był z swoją ojczyzną, pomimo wieku i majątku,

jakiego z czasem doszedł. Były jeszcze i inne korpusy, ale to wszystko dopiero się organizowało. Ledwo piekielną przeprawę nakielską skończyliśmy, ledwo stanęliśmy w Kcyni, marszałek Lniński poznawszy się z pólkownikiem Skórzewskim, oddać mu w kommandę swój korpus przedsięwziął. Miały się rzeczy układać i urządzać, ale kommanda na przeprawie nakielskiej dla bronienia przeprawy, albo raczej przestrzegania o nieprzyjacielu zostawiona, gdy spostrzegła zbliżającego się nieprzyjaciela, uchroniła się na bok i nawet do Kcyni uciekać zapomniała. Wypadło, iż Rossyanie cicho i spokojnie pod samą podeszli Kcynią. Znagła rozruch i okropny odgłos się rozchodzi: zdrada! zdrada! Było to hasło dogodne naszym tchorzom, bo już potem następowało: do koni! do koni! i rozproch. Ja tutaj byłem bardzo blizkim niebezpieczeństwa, dostrzegłszy

bowiem na placu bitwy, że Jakób Wyczechowski, pólkownik konfederacyi pruskiej, był otoczonym od kozaków, chciałem mego szczególnego przyjaciela ratować i sam otoczony zostałem; obroniony jednak od Melchiora Wyczechowskiego, brata Jakóba, który potem śmierć nad niewolę przekładając, poległ trupem na placu. Gorliwy Mazowiecki i bitny Skórzewski na próżno szykowali kilkakrotnie przełkniętego żołnierza; znajomość służby i większość sił dały zwycięstwo nieprzyjacielowi. Powiem, nie byliśmy pobici, ale rozbici i rozproszeni... Czulem, że to nie była batalia farsalska przegrana, pomnożyły się jednak we mnie smutne wrażenia, które już od Baru umysł mój klóciły o naszym rycerstwie. Przybyliśmy do Poznania, gdzie marszałek Małczewski, gotował się do wymaszerowania. Tam poznałem owego sławnego partyzanta Moraw-

skiego, rzeźnika z Gniezna, który tyle swą osobistą odwagą dokazał, że mu Dońcy czarnoksiężstwo przyznawali. Malczewski na zalecenie jeneralności, gorliwie się trudnił wyprawieniem do niej Lnińskiego, i aż do granicy starał mu się zapewnić bezpieczeństwo. Tu dla mnie gotował się moment bardzo przykry; Lniński żądał, abym z nim do jeneralności wrócił; ja pragnąłem na czas niejaki ukryć się w Gdańsku, i rozpoczęte kończyć nauki. Stanął w méj obronie konsyliarz Sarnacki, przywołując, iż potrzebą było, aby się ktoś w kraju dla komunikacyi pozostał, i nie bez najżywszego uczucia; ukochany wuj skłonił się do naszego rozdziału. Lecz ledwo stanąłem w Gdańsku, ledwo się doczekałem najmilszój nowiny od Lnińskiego z Byczyny, bezpiecznie kończącego podróż do jeneralności, gdy mnie zewsząd zagroziło niebezpieczeństwo.

Musiąłem się taić, ukrywać, gdyż wydania mego officyalnie żądał rezydent rossyjski; nie pozostawalo mi nic więcej, jak tylko puścić się gdzie za granicę morzem. Tu szanowny opat Rybiński, lepiej jak ja znający jeografią i akademie radził mi się udać do Holandyi, do akademii lejdejskiej, szczególnie, gdy mu rady biskupa Krasińskiego w tym względzie odkryłem.

Ukochana matka tulając się równie ze mną, była gotową wszystko poświęcić na fundusz do méj podróży. Szczęściem odchodził okręt jeden duński do Lubeki. Pokazałem téż mój powóz matce, która zalana łzami, pobłogosławiła podróżującemu. Umówilem sobie kórrespondencyą z opatem Rybińskim, i z dziadem moim, brygardyerem Lebińskim; doniósłem o mojej podróży nowéj wujowi i ruszyłem.



ROZDZIAŁ IV.



Pobył w cudzych krajach.

Już był rok 1770., a życia mego 23ci, gdy w tę nową kolej nieprzewidziane rzuciły mnie losy. Lubo całe obcy w tym nowym elemencie, nie podpadłem jednak zwykłej nowym żeglarzom chorobie, a dłużej jak zwykle dla przeciwnych wiatrów i ustawicznych burz bawiliśmy na morzu. Zdrow byłem ciągle, i zajęty dniem i nocą moją akademią; dnia 7go stanąłem w Lubece. Miasto ty-

le sławne w lidze anzeatyckiej, znalazłem tak ciche, spokojne, jakby przez jedną familią zamieszkałe. Oczędność, czystość domów i ulic w podziwieniu mnie wprawiała (trzeba było dobrą milę od wylądowania, i to samemi piaskami do miasta dojechać). Zakładałem sobie tam bawić się kilka dni, i okolice zwiedzić, gdy nagle taką niemoc uczułem w nogach, iż prawie wszystkę władzę w nich utraciłem, ból nieznośny zdrewnił je zupełnie, w przeciągu dwudziestu i czterech godzinach. Złękniony wzywam lekarza, ten na moję pociechę przytacza mi przykłady, że ci, którzy choroby morskiej nie mieli, tym rodzajem paraliża nóg często bywają dotknięci; dzień cały się poce, i niby ów paralytyk ewangeliczny, porywam się z łóżka i chodzę po trzech dniach kalectwa. Niebawnie korzystam z odzyskanego zdrowia, i pocztą zwyczajną puszczam się do Hamburga.

Wóz duży okryty, najniewygodniejszy, dokończył méj kuracyi. Cyrkulacya krwi musiała bieg swój odzyskać, i żołądek dygestyą. W Hamburgu życie bardzo drogie, jak zwykle w mieście bardzo handlowném i pieniężném.

Hamburg co do handlu, jest w tym stósunku do Europy, co niegdyś Amsterdam względem całego świata; ale ja opis jego odsyłam do moich podróży (jeżeli je kiedy skończę). Tu w dalszą podróż niebawnie się puszczam, i znowu na wóz drabny, zwany pocztą ordynaryjną, siadam i przez miasto Bremę wolne anzeatyckie, aż do miasta holenderskiego Gröninge przybywam. Potłuczone kości, sińce na ciele, ale umysł czerstwy i wesoly do bogatych, ale ponurych przywiózłem Holendrów. Tu nowe przedmioty, nowy widok rzeczy, zgoła, świat i ludzie byli dla mnie nowi. Ztamtąd nakoniec do

Amsterdamu przepłynąłem przez Südersee, gdzie zachwycony wszystki-
kiem, co widzę, i wszystkiemu się
dziwię, niczego pojąć nie mogę. Ufam,
iż w moich rękopismach myśli niektó-
re nad Holandya znajdziecie; tu tyl-
ko wyznaję wam szczerze, iż obja-
wszy niejake wyobrażenie o jój rza-
dzie, objąć tego na żaden sposób nie
mógłem, że mieszczenie, burmistrze
takim rządili krajem, obyli się bez
króla, nie mieli szlachty. . . . Uko-
chane dzieci, taka jest moc uprzedze-
nia z dzieciństwa wzięta, i ciemnotą
publiczną żywiona! w takiej był wasz
ojciec, co już był mecenasem, posłem
i konsyliarzem; w takiej ileż naszych
zgrzybiałych prawodawców, senato-
rów do grobu nie weszło? . . .
Ledwo tak od śmiechu nie rozpękł
się kiedyś opasły a głupi poseł tu-
recki w Wenecyi, gdy mu powie-
dziano, iż rzeczpospolita stała bez
sultana, i cierpieć momentu nie mogła-

by wezyra. Ja szlachcic polski, by-
łem tym Turkiem w Holandyi, ale
ona mnie téż mogę mówić na inną
drogę wprowadziła. Zamojski! Chre-
ptowiczu! Brzostowski! oddajcie mym
sentymentom sprawiedliwość, jak o
naszych mieszczanach i wieśniakach
myślałem.

Z Amsterdamu płynąłem jak zwy-
kle kanałem przez Harlem do Lejden;
zdalo mi się, że płynąłem polami eli-
zejskiemi do raju. Jeszcze w Am-
sterdamie powziąłem wiadomość o aka-
demii lejdejskiej, i bez wszelkich re-
kommendacyj idąc machinalnie za dru-
gimi, wpisałem się w księgę akade-
mików i pod władzę przeszedłem
rektora. Lekcyje na moje nieszczęście
dawano po łacinie, a professorowie
płatni od rządu żadnej od uczni nie
brali opłaty; ten tylko, co prywatnie
chciał brać lekcyje, podług ugody pla-
cił. Czytając plan czyli rozkład na-
uk, wszystkie mi się podobały, wszy-

stkie prócz teologii, (bo ta nie była méj wiary) aż do chirurgii chciałbym był objąć, chciałbym przynajmniej mieć ich obraz. Idąc za popędem méj passyi do nauk, a nie mając przyjaźnego mentora, któryby mi rękę podał, wpadłem jak ów zgłodniały na zastawione stoły. Już całodzienną pracą aż do późnej nocy chcę sobie utracone lata wynagrodzić. Chodzę wywiedły, po kilku miesiącach jak cień. Postrzegł to najmilszy memu wspomnieniu profesor prawa Pestel; znalazł mnie sławny professor chemii Gaubius. Miarkuje się w zapale, ale w nim nie stygnę. Gdy to piszę, gdy mój stan ów przywodzę na myśl, niczego nie pragnę, jak tylko przez lat kilka być waszym przewodnikiem do nauk, nie z powagi ojca, ale na mocy doświadczenia. W tym tłumie lekcyi przywiązałem się szczególnie do prawa i historyi politycznej Europy przez profesora Pestla dawanych; dawał mi

téż czasami lekcją prywatną, expli-
kując ducha praw przez Montesquieu.
Zachwycała mnie fizyka experymentalna,
która z łaski edukacyi naszej
zupełnie mi była obcą. Przypomnia-
łem sobie przytém Twardowskiego,
że go ciemność nazwała czarnoksię-
żnikiem. Profesorem fizyki był Al-
man, Szwajcar, pełen niewypowie-
dzianej dobroci i grzeczności. Pe-
stel był Niemiec, ale pełen tonu dwor-
skiego, grzeczny i dobry, jak Alman;
różnili się w tém od Holendrów, któ-
rzy mniej przystępni. Uczęszczałem
na lekcye Gaubiusza chemii i botani-
ki; najtrudniejszą mi była spóźniona
nauka matematyki, poświęcałem jój
się jednak; język francuzki zajmował
mi także wiele czasu, potém lekcya
partykularna jeografii i historyi pow-
szechnej z Bossueta. Wpadałem nie-
kiedy na anatomię dawaną przez Al-
binus, brata owego sławnego anatomi-
misty i następcy po Borhavié. Ale

pamiętając dobrze rady mego biskupa, zająłem się najwięcej lekcją polityki, lekcją praw narodów. Professor, dający prawo polityczne rządu rzeczypospolitej holenderskiej, używał przytém dzieła: *Les instructions politiques par Bielefeld.*

Nauka ta tyle do mego stanu potrzebna, zajęła mnie całkiem. Dzieło Bielefelda w większej części przetłómaczyłem, zebrawszy różne notycye o rodzajach rządów i ich zasadach. Męczyłem przepisywaniem i siebie i zacnych mych współziomków wyznania kalwińskiego, Stankara z Litwy, Dyczkę i Kassyusza z Wielkopolski. Byłem posłał opatowi Rybińskiemu ten pierwszy niedojrzały plód mego pióra, wreszcie, gdzie się podział, nie wiem. Było to wówczas dla mnie rzeczą zupełnie nową, zasady i rozumowanie nad naturą praw politycznych, krajowych, nad przedmiotami ekonomii politycznej, nad

skarbem, policją i t. d. Cóż dopiero pierwsze prawidła dyplomacyi i zewnętrznej negocyacyi elementa, przypominały mi zawsze pierwszy mój gabinet dyplomatyczny pod prezydencją sekretarza Kochanowskiego w konfederacyi barskiej!...

Ileż razy nie utyskiwałem na naszą ciemność z zacnymi współziomkami wyżej wspomnianymi! Byli oni wyznania kalwińskiego, i dla dzikiego prześladowania w kraju, gdzie im zabraniano szkół publicznych, porobiły się różne w krajach zagranicznych fundusze na młodych księży. Dla tego dyssydenci powszechnie byli uczeńsi od nas. Byłem im znany pod nazwiskiem Eukler z Gdańska; pod tém bowiem przyjechałem do Holandyi i pod tém chodziłem do akademii. Nie umiałbym wam wytłómaczyć prawdziwego powodu zatajenia mego nazwiska, szedłem w tém za radą przyjaciół w Gdańsku, którzy

rozumieli, iż może przez gazety będzie komu imię moje znane. Wreszcie było mi z tém bardzo dobrze, bo w Holandyi jak wszędzie za granicą, Polak na *ski* jest grafem i podług tego oberzyści i rzemieślnicy taksują. Przyznałem się jednak profesorowi Pestłowi, kto byłem, i to miało na czułym umyśle jego skutki jak najlepsze; dawał mi lekcyje partykularne, a o naszej korespondencyi dowiedcie się później. Ziomkowie moi dorozumiewali się, iż pożyczone nosilem imię.

Po śmierci zachowałem miłą pamięć uczynionej im przysługi. Pewien K....., syn seniora z Leszna, zdaje mi się, przez głębokie zapuszczenie się w tajemnicę religii był oszalał; często z tego przypadku okropnego smutni w Lejden brat jego i drudzy dwaj Polacy, których wspomniałem, odkryli mi tajemnicę. Już ten nieszczęśliwy był wyszedł

z gwałtownego paroksyzmu, zachował tylko reszty choroby, nie chciał golić brody, jeść mięsa, przytém cierpiał melancholią, czasami dzikość, dla tego go jeszcze na wolność puścić niechciano. Szło jednak dla jego wyleczenia, aby go z stancyi wyprowadzić. Oświadczam się przyłożyć wszelkimi siłami do jego losu; odpowiadają mi na to, że jest bardzo ciekawy mnie poznać z reputacyi którą miałem w pilności do nauk. Poszedłem więc do niego; projekt, który sobie ułożyłem, nieczynienia z nim żadnych dysput, jak najlepsze miał skutki. Po niejakiéj konwersacyi, na wspól szalonej, zaczął mi się skarżyć na tyranstwo ludzi względem siebie; przyszła narazie materya brody i niejedzenia mięsa. Pochwalam jego strój, zgodny z strojem Chrystusa i wszystkich filozofów; pochwalam obrzydliwość do mięsa, przytaczając za

przykład wielkiego Pytagoresa i t. d. Na to zlagodziło się jego oko, wesolość zadziwia wszystkich. Ale ja kończę dalej, iż chcę go naśladować, brodę zapuszczę, mięsa jadać nie będę i razem z sobą żyć zaczniemy. Ścisła mnie serdecznie, a ja zwolna proszę, abyśmy razem brody zapuścili, a więc wypada, aby on swoją ogolił. W tym namyśle go zostawiam i na jutro na obiad proszę do siebie, dla zaczęcia już wspólnego życia. Ledwom odszedł, męczył brata i drugich, aby go do mnie prowadzili; przekładają z strony mojej kondycją, aby razem brody zapuścić, a zatém swoją wyrosłą ogolić wypadało.

Trwały spory do dnia drugiego, przypominają mu, że go z obiadem u mnie czekam; decyduje się na postrzyżyny, goli brodę i woła, aby go do mnie prowadzono. Któż opisze radość brata, z jaką się z tą nowiną

na łono moje rzucił. Ale proźba nowa o pieniądze na pocztę, aby zaraz z domu mego porwać i z kraju niezdrowego wywieść. Daję z najczulszą radością czerwonych złotych dwadzieścia. Tymczasem ten nie-szczęśliwy do mnie wchodzi; ofiaruję mu owoce. Przychodzi do obiadu, stawiają jeden półmisek mięsa, on go porywa, ja odbieram i rzucam ze wszystkiem w komin. Taka nagła powolność z mojej strony zaraz go ulaskawia; godzin kilka rozmowy i zabawy uczyniły go zupełnie spokojnym. Powiem, odmiana powietrza, towarzystwa, wróciły mu zmysły.

Mówił polszczyzną wyborną, chwalił moje pismo, tymczasem zapłacona pocztą zaszła. Ofiaruję mu spacer, proszę go tylko, aby z bratem najprzód wsiadł do powozu, ja za nim. Ruszył i tylko bratu dał kilka razy w podróż w twarz, zresztą szczęśliwie stanął w Drezenku.

Wrócony ojcu strapionemu, familii i wszystkim jego wyznania, którzy w nim geniusz upatrywali. W Drezenku była generałowa Skórzewska z całym domem; sławny Bronikowski, kalwin i t. d., tam się wydało me imię; odesłano mi zaraz pieniądze, doniesiono radość powszechną. Moje dzieci! nie macie w mém życiu dzieł wielkich, chciałem wam tę przysługę ludzkości, jako dzieło drogie memu sercu, którego wspomnienie do grobu mnie poprowadzi, w waszój uwiecznić pamięci. Ach! co za rozkosz dla duszy uczynić, choć jednego człowieka szczęśliwym!

Tak rok bawilem w akademii lejdejskiej. Zasiane zostało ziarno wiadomości różnych, byłbym (pochlebiam sobie) nie zadługo postrzegł całkowity owoc, ale przez cały rok od generalności nękany, musiałem uleść obowiązkom dawniej zaciągnionym, i powrót przyrzec.

Wreszcie przełożył mi mój wuj, iż mój majątek na tak wielkie podróże nie wystarczał. Sposobiłem się więc do powrotu, gdy mnie przeznaczono z Potockim jakimś do Hiszpanii. W Gdańsku od kasztelana Czarnieckiego, miałem odebrać instrukcye.

Tam więc wyjechałem z żalem, że porzucam rozpoczęte nauki.

Tak więc po różnych funkcyach i urzędach odbytych, widzieliście mnie moje dzieci napowrot w szkole. Już i dawni filozofowie do grobu uczyć się nie przestali, ale względem mojej nauki, ta smutna okoliczność zachodziła, iż tego w dwudziestym trzecim roku zacząłem się uczyć, co najmniej w piętnastym umieć już byłem powinien.

Fundusze na podróż były szczupłe, a i te włożyłem prawie w zakupienie książek.

Wsiadłem więc znowu na okręt do Gdańska, ugodziwszy się na cały ekspens zapłacić kapitanowi czerwonych złotych kilkanaście. Ufałem, iż z pierwszej podróży przyuczony już marynarz, zdrow będę. Ale nad spodziewanie, choroba się moja zaraz przy wstępie na okręt zaczęła i trwała dni siedm, aż do wylądowania w Zundzie. Już to nie był temperament zahartowany konfederata barskiego, który się natrząsał z wszystkich odmian i niewygód; upadł pod niemi zdelikatniony z osłabioną fizycznością akademik. Dojeżdżając do Zundę, prosiłem kapitana, aby mnie tam wysadził, na rzeczy moje dał pieniędzy i dla poratowania zdrowia zostawił w Helsingor, gdzie zwykle królowi duńskiemu dla opłacenia się stawają okręty wszystkie. Uczynił jakem żądał, na szczęście ludzki i czuły marynarz. Spuszczono mnie wpół umarłego na łódź, ale, o dzi-

wy! ledwo mnie majtkowie postawili na nogi, zamiast pomocy doktorą, zacząłem w pierwszej garkuchni nadbrzeżnej, wołać o pieczeń barania, której mnie zapach doleciał.

To była niepojęta metamorfozys, jak z konającego ożyłem. Kapitan jedząc ze mną, powiadał, iż do Kopenhagi miał interes pojechać; prosiłem go, aby mnie z sobą zabrał. Tęj podróży zamiarem, nie była tylko sama ciekawość.

Wspomniałem na czele pisma, iż pochodzimy z Danii, dodam słów kilka ciekawego w tém zdarzenia: Za Augusta II. zdaje mi się, był posłem od króla w Danii Szaniawski, właśnie wtedy, kiedy ministrem spraw zagranicznych był Wyben, który będąc bezdzietnym, odjeżdżającego posła zapytał się, czyby o Wybenach w Polsce nie wiedział, dodając, iż wie z historyi domu, iż tam jeden z przodków był osiadł.

Szaniawski wyznał swą niewiadomość o téj familii.

Na co mu rzekł minister Wyben: uczynisz mi wielką łaskę, gdy się o nią dowiesz i jeżeli jest rozrodzona, niechaj tu z nią jeden młody dla odziedziczenia mego majątku i utrzymania imienia przybywa. Zapomniał Szaniawski o daném przyrzeczeniu, ale w czasie, gdy jest marszałkiem trybunału, wytacza się sprawa naddziada mego, pod jego łaską. Łyśniewski, zły sąsiad a możny, chcąc wydrzeć przyległe grunta, zadaje mu, iż nie jest indygenat pruski (to prawo Prusacy bardzo cenili), iż jest przybysz niewiadomy z swoją familją; zgoła, że nie szlachcic. Tu z natury rzeczy wypadło produkować ów dokument, o którym wspomniałem wyżej, a który jeszcze za Zygmunta Augusta przodek nasz na indygenat polski był otrzymał. Obudza się pamięć w marszałku na wy-

raz Wybena z Danii. Wybicki wygrywa sprawę, jako indygenat polski i komunikowaną ma sobie propozycją ministra duńskiego. Odpowiada Wybicki: iż ma trzech synów, ale żadnego do Danii posłać nie może z przyczyny religii, zresztą, że to bierze ad referendum do brata swego proboszcza. Tu się już zakończyła była cała ta historia, a którą opisaną oddał mi szanowny mój stryj, archidyakon pomorski, i często o niej ojciec, a bardziej stryj Maciej, wspominał. Zachowałem jej pamięć i to było powodem jechania mego do Kopenhagi. Gdyby czas i sposobność były po temu, mógłbym być odkrył, jak wygasała familia Wybenów i do kogo się jej majątek przeniósł; ale nie cały dzień bawiąc w Kopenhagdzie, wsparty tylko radą kapitana, któremu rzecz udzieliłem, tyle się w domu niektórych bankierów i kupców dowiedziałem, iż familii Wybe-

nów wcale nie znano. Może ta wiadomość przydać się któremu z następców naszych.

Powróciwszy z Kopenhagi, nie bez odrazy wsiadłem znowu na okręt, ale jednak przybyłem zupełnie zdrów do Gdańska. Szukam zaraz mego kasztelana braclawskiego, od którego odebrałem wiadomość, że Potocki, z którym miałem jechać do Hiszpanii, umarł. Tak więc spełzły moje nadzieje widzenia Francyi i Madrytu.



ROZDZIAŁ V.



Stósunki autora z Jeneralnością konfederacyi barskiéj.

Nie będę tu opisywał dalszych odmian politycznych, wspomnę tylko, że jeneralna konfederacya przeniosła się z Eperies do Teshyna. Tam więc piszę do jeneralności i do marszałka pomorskiego, ale on był wyjechał do Wiednia do posła francuzkiego, gdy Zboiński nie przyjął téj poczty. Fran-

cya zdała się coraz bardziej czuć potrzebę ratowania Polski; ale jój środki, jój słaby gabinet, prawie niedoleżny, nie odpowiadały nateżonej polityce dworów, które podział Polski ułożyły. Wspierała Francya konfederacyą barską, jak niegdyś elekcyą Stanisława Leszczyńskiego, ale tam jeszcze otwarcie, tu tajemnie. Łudził ją dwór austryacki, natrzęsała się z nięj jawnie Rossya, zwykłym polityki swęj tajnej obrotem, prowadził rzecz całą Fryderyk... To już epoka zachwianęj monarchii francuzkiej; dobrze ją w swém dziele opisał Favier. Na zapobieżenie zagrożonemu potęgi tureckiej i rzeczypospolitej Polski upadkowi, wysłała Francya kardynała Rohan, arcybiskupa sztrasburskiego, jako posła, do Wiednia. Posel niosący cechę zupełnej korrupcyi narodu swego w okazalności i zbytkach orientalnych, może byłby przyzwoicie na jaką reprezen-

tacyą kraju błyszczącą użyty, np. na jakie ślubowiny; ale gdzież ten Sybaryta, oddany rozkoszom leuiwiec, tak wielkiej wagi mógł prowadzić interessa? Ztémwszystkiem w nim ojczyzny naszej losy były złożone. Viomenil, jeneral francuzki, który przy jeneralności bawił, przekładał potrzebę wysłania jakiej znacznej osoby do niego. Pisał o to i mój wuj, bawiący w Wiedniu, zaprzyjaźniony z ministrem francuzkim Durand, wielkim Polaków przyjacielem. Zwróciły się wszystkich serca i zdania na księcia Jabłonowskiego, wojewodę podówczas poznańskiego. Ten niewyrodny prawnuk Stanisława, był jednym z najgodniejszych Polaków, o losie ojczyzny nigdy nie rozpaczał, służył jój do ostatniego tchnienia. Czuł w propozycyi sobie od jeneralności uczynionój, całe niebezpieczeństwo i trudność; ale: uczynimy wszystko, powiedział, abysmy nic sobie sa-

mym do wyrzucenia nie mieli, i przyrzekł dopełnić, czego od niego konfederacya żądała. W takim niejako stanie były rzeczy, gdy w 24 roku życia, w roku 1772. pojechałem do Teszyna, gdzie marszałkiem na czele związku był Pac, starosta ziołowski. Jużem był zastał powracającego z Wiednia marszałka pomorskiego, którego przytomność w jeneralności była koniecznie potrzebną dla narażenia się względem szczupłych subsydyów placonych przez Wiedeń od rządu francuzkiego. Książę Rohan nie był jeszcze przyjechał, wypadło przed jego przyjazdem przesłać ministrowi Durand, zdawna do narodu naszego przywiązanemu, żądania i projekta konfederacyi, który przyrzekł marszałkowi pomorskiemu, iż swemu następcy jak najwierniejszy obraz wszystkiego wystawi. Wypadło również powierzyć odbieranie pieniędzy placonych przez Francją

dla konfederacyi, w tym zamiarze podobalo się konfederacyi wysłać mnie do Wiednia.

Pac, marszałek, lubo gorliwością i cnotą obywatelską nie przechodził Krasieńskiego, miał przecież nad nim wyższość do prowadzenia interesów przez wrodzoną sobie słodycz i obszerne wiadomości.

Bohusz, sekretarz, był (powiem) geniusz, był człek do takiej rewolucyi stworzony. Uważano w nim pasyę wielkie, i ci go w tém krytykować szukali, którzy nie wiedzieli, iż do dzieł wielkich, właśnie z wielkimi passyami trzeba ludzi. Uspione namiętności czynią urzędnika publicznego obywatelem drogim w pokoju, lubym ojcem familii. Nie był tym Bohusz; nie stał się geniuszem zbawczym, bo na nieszczęście nie miał wiadomości militarynych, nie miał dość wsparcia i podniety, był ściśniony

w swoich widokach; powiem, nie był na czele dzieła.

Marszałek uczynił mi propozycyą przyjęcia nowych obowiązków. Bez przymuszonej skromności odpowiedziałem szczerze: iż jeżeli gorliwość i przywiązanie do sprawy zastąpić mogą talenta w téj misyi, rzecz publiczna przez swój wybór zawiedziona nie będzie. Opuszczam w takich okolicznościach, wzajemne dalsze komplementa. Oddano mi ekspedycyą do ministra francuzkiego, przyłączono list, aby mi zaufał; wyrażono, aby odtąd bankier Brea, wyznaczone subsydyja do mych rąk oddawał, aże (jak rozumiem) wypadalo zaszczycić mnie jakim tytułem, ponieważ konsyliarza barskiego w Wiedniu nosić nie mogłem, dano mi patent pólkownika w wojsku polskiem. Nie dziwcie się tak nagłemu memu awansowi; bardzo to u nas naówczas było zwyczajném. Zabronił sobie rząd, niby to republi-

kański, stwarzać grafów, baronów, markizów, stwarzał bez skrupułu niezliczoną liczbę jenerałów, oficerów, rotmistrzów kawaleryi, zaszczyt, który osobliwie w kraju wolnym powinien bydź skąpo szafowanym i tylko za doświadczoną waleczność lub znajomość sztuki wojskowej.

Szanowna w swoich zamiarach konfederacya szła w téj mierze za uświęconym przez długie czasy zwyczajem, ja wówczas machinalnie ofiarę przyjąłem, później jednak, jak zobaczycie, nie przyjąłem od naczelnika danéj mi rangi jenerała.

Tymczasem wyjechałem na moję missyą i jako pólkownik prezentowałem się w Wiedniu ministrowi francuzkiemu Durand; wiadomości od marszałka pomorskiego już go były uprzedziły na mój pożytek. Był to człowiek już pewnego wieku, przystojny, miły, przystępny. Jeszcze w roku 1755. był w Polsce mini-

strem, należał do tajemnych układów względem zapewnienia u nas tronu księciu de Conti; sprzyjał polskiemu narodowi przez pryncypia zdrowej polityki i przez wdzięczność doświadczonej gościnności. Takie zdawna związane na umyśle wyćwiczonego ministra dyspozycye, sprawiły dla mnie przyjęcie bardzo pochlebne. Nieszukając we mnie nauki bardzo głębokiej dyplomacyi, polubił mnie bardzo z przyczyny zapewnionego mu mego charakteru, bez skazy dobrego Polaka; a jeżeli w rozmowie czuł świeżość szkolną z instytucyi politycznych Bielefelda powziętą; umiał to pokryć zwykłą sobie grzecznością. Powiem, iż gdy w tym momencie sposób, jakim mnie przyjął, na myśl przywiodzę, gdy sposób, w jaki interessa i losy Polski rozbiierał, sobie przypominam, przekonany jestem, że on szczerze chciał egzystencyi naszej, że zarówno z hra-

bią Broglio dawno już o to budził dworu nieczułość. List od jeneralności mu oddany, czytał nie bez wzruszenia. Pac, Ogiński, Lniński, Bohusz, były mu lube do wspomnienia imiona; a iż opuścę, co naganiał, pochwałał i radził; wyznaczył mi godziny, w które go widzieć mógłem pod inném nazwiskiem. List, odpowiadający do marszałka Paca mi oddał i przez tę rzadką dobroć, która go charakteryzowała, radził mi sam, aby, jeżeli księżę Rohan księcia Jabłonowskiego nie zastanie, jeneralność na moje ręce list do niego przysłała, poruczając swoje losy jego życzliwości; dodał, aby Pac partykularny list napisał do l'abbé Gorgel, sekretarza ambassady. Tym przyjacielskim obchodem tak mnie do siebie przywiązał i z powagą ministrowską oswoił, iż dom jego był mi raczej świątynią otwartej enoty, jak schronią pysznęj i ukośnej dyplomacyi.

Wielbiłem to losu dla mnie zdarzenie i donosiłem z pociechą o tém Pacowi. A że miałem także listy zaletne do posła hiszpańskiego, starszka wiekiem i chorobami stłoczonego, bywałem także u niego zawsze grzecznie przyjmowany. Był w Polsce, kochał naród nasz i nad losem jego utyskiwał. Nazwiska jego przypomnieć sobie nie mogę.

Moment przyjazdu księcia Rohan coraz bardziej się zbliżał. Jeneralność uwiadomiona, iż księżę wojewoda poznański przewlokł jeszcze wyjazd, przysłała mi podług rady Duranda listy do oddania wielkiemu posłowi. Byłby to dla mnie, przyznam się, moment przykry, gdybym nie był zasilony ufnością w znanym mi charakterze ministra Duranda; wezwał on mnie do siebie i zwykłą zapewnił słodyczą, iż oddając interessa następcy swemu, nie zapomniał o Polsce, że księżę żąda odebrać

z mych rąk ekspedycją i że mnie prezentować będzie, ale potajemnie, z obowiązkiem jak największej z méj strony dyskrecyi. Wszedłem więc do niego z Durandem; był też tam Gorgel, sekretarz ambassady. Po krótkim komplementcie oddałem ekspedycją; dał sobie czas list Paca przeczytać, zapytał się, kiedy książę Jabłonowski przyjedzie i do jego przybycia odłożył odpowiedź marszałkowi; wreszcie wskazał sekretarza ambassady, z daném pozwoleniem, abym u niego bywał i przez niego, gdyby co wypadło, jemu komunikowałem. Książę Rohan, przeszło lat 30 mający, już był łysy i zresztą figury pięknej, żywy jak Francuz, roztrągniony jak trzpiot paryzki, dumny jak książę i poseł wielki. Względem mnie, wyznać muszę, iż był grzeszny i nawet uprzejmy; przyszło z czasem, żem bywał u niego i przyjmował mnie w tonie przyjacielskim;

ale nie tego ja od niego pragnąłem, chciałem wsparcia dla kraju, a on, słabością i niedoleżnością swoją do jego przyłożył się zguby!

Dowiedziałem się później, iż światły i głęboki w polityce Durand naprzykrzył się swemu rządowi ustawicznem przekładaniem zawieszonęj burzy nad Polską; że domagał się pozwolenia wymódcz na dworze wiedeńskim kategorycznej odpowiedzi, względem tajemnych z królem pruskim i Rosyą związków, że ta nieporuszona stałość w pilnowaniu całości Polski, dla całości interessu Francyi, pozbawiła go ambassady wiedeńskiej, a intryga dała mu na zastępcę kardynała, który drzymał na łonie rozkoszy, gdy koaligacya na rozbiór Polski i osłabienie Francyi czchała.

Gorgel, sekretarz, był eksjezuita, obowiązany zdawna darami Rohanów (miałem nawet od niego dzieło, ty-czące się téj familii), był tak nowy

w polityce, jak jego poseł. Garnitur to umyślnie był dobrany zdradnej intrygi ręką. Zamilczę, abym méj rany nie odświeżał, jak nieczułym znajdowałem Gorgela na interessa Polski, żadnego bowiem nie miał wyobrażenia rzeczy. Kazał mi sobie podawać wiadomości niektóre, pracowałem, a szanowny Wiesiołowski był mi największą pomocą w pracy. Uwagi, myśli, projekta, które mu podawałem, znajdował Francuz dobre; jeden projekt, powiedział, iż komunikował posłowi, a on go do Paryża przesłał; gdy go potem zapytałem o skutek, odpowiedział, iż go znaleziono zapóźno podanym! . . . Czulem coraz bardziej, że Durand odjechał, że naszego nieszczęścia zbliżała się godzina. . . .

Przyjazd księcia Jabłonowskiego, niewyrażoną przyniósł mi radość; uczyniłem mu krótką sprawę z ograniczonych mych czynności, oddałem

mu papiery, i podług żądania mego, do jeneralności posłanego, chciałem koniecznie opuścić Wiedeń. Zastanowiło to księcia i pokazał mi zaręczoną mu od jeneralności bytność moję przy nim. Do Rohana się udałem, i o przybyciu księcia Jabłonowskiego doniosłem; wyznaczył godzinę, kiedy go wprowadzić mogłem do Gorgela, a ten do posła. Godzina do konferencyi była wieczorna, zostawiłem na nię samego księcia. Nie wyszczególniam tutaj, jak z danęj instrukcyi od jeneralności, punkta przez księcia Jabłonowskiego podane, były na wspólnym interessie dwóch narodów, Francyi i Polski zasadzone, jak żądania konfederacyi miały cechę polityki dojrzałej, co potrzebne do wielkości zamiaru wystawiając środki, słabość i niedoleżność dotąd dowodziły. Mówił książę, że niepodległość i eksystencya Polski, nie były aż dotąd niczem zaręczone; honor na-

rodu francuzkiego kompromitowany i t. d.

Żądał książę Jabłonowski konfiden-
cyonalnej najmniej odpowiedzi: czy
książę poseł wdawać się będzie do
dworu wiedeńskiego, za interessami
konfederacyi i bezpieczeństwem indy-
widuów? Wysłuchał żądania wszyst-
kie, przyjął na piśmie podane sobie
noty, a w niezdeteminowanej na wszy-
stko ograniczając się odpowiedzi, do-
dał jawnie, iż dyrekcie jeszcze nie
za sprawą konfederacyi czynić nie
może, ale ponieważ los narodu pol-
skiego nie jest obojętnym jego dworowi,
przeto polscy patryoci mogą
być zapewnieni, iż aż do wyjaśnienia
rzeczy, on się inderekte ich losem
zatrudniać będzie, że ich żądania
przez usta księcia Jabłonowskiego,
zawsze będzie gotów przyjmować,
że z jenerałem francuzkim Viomenil
przy jeneralności będącym, wyraźnie
znosić się zechce; wreszcie na rozwo-

dzeniu nieukontentowania i skargach oficerów francuzkich, przy konfederacyi będących, rozmowę zakończył. Zgadywaliśmy łącno wprzód skutek z téj tak ważnej i tak długo oczekiwanej konferencyi. Wiedzieliśmy, że ten bałwan osłabionego i znikczemionego rządu organ, przez osobistą jeszcze niedoleżność energicznego kroku, względem zbawienia Polski, uczynić nie może. Takie było nieszczęśliwe nasze położenie!

Epoka jednakowoż przybycia księcia Jabłonowskiego do Wiednia, wskazywała nam niejakiś zorza wschodzącej na nowo nadziei. Cnotliwy i światły obywatel Wielohorski, utrzymujący interressa konfederacyi w Paryżu, miał gruntowne i niemylne zapewnienia, iż Durand wróciwszy na początku 1772. roku z Wiednia, odkrył gabinetowi swemu zaszcze potajemne między Wiedniem, Petersburgiem i Berlinem, na zgubie-

nie Polski znowy, że głęboki w swoich zamiarach politycznych hrabia Broglie obszerniej jeszcze podania Duranda, przez niemyślne przejrzenia swoje królowi przelożył, że na wyjawiony w ten sposób spisek, obudzi się z letargu Francya, i chybionej względem siebie alianta otwartości w gabinecie wiedeńskim poszukiwać będzie.

Ztąd się ciągnęły pasma niemyślnych nadziei, iż Wiedeń jawnie deklarować się musi, albo Francya z ludzającym się sprzymierzeńcem pokój zerwie. W takim stanie rzeczy miała się czém zasilić gorliwość i ukrzepić stałość gorliwego Polaka. Udzielałem tych wszystkich cieszących wiadomości Roztworowskiemu, staroście żytomierskiemu, obywatelowi z cnót i światła tak słynnemu, który dla naszych interessów w Dreznie bawił. Książę Jabłonowski z woli jeneralności dawał poznać kardynałowi, iż

nam nie były tajne wysłedzone przez rząd francuzki zamachy w ciemności na zgubę Polski kute; ale zgrzybiałego w gabinecie Kaunitza czynność umiała czuwać, aby epikurejczyk na łonie rozwiozłości zasypiał, tak daleko, że gdy mu książę Jabłonowski nie przestawał powtarzać swych zleceń, on mu oświadczył troskliwość swoją o jego osobę, która, jak mniemał, zaczęła być podejrzaną posłowi rossyjskiemu i pruskiemu. Zapewnił go na to książę, iż wiedziano u dworu, że on do córki swojej przyjechał, która się edukowała w Wiedniu i bawiła w klasztorze Urszulanek. Okoliczność ta zapewne nie była tajną, bo piękność młodej księżniczki Jabłonowskiej była w stolicy głośną. Józef II. widząc ją na promenadzie publicznej, dowiedział się o jej famili i w posiedzeniach do zazdrości Niemek o pięknej Polce rozmawiać lubił.

Tymczasem dzień każdy zbliżał ostatnią dla kraju godzinę, a kardynał nieczułością swoją co dzień nas bardziej zasmucał. Zgoła, iż skrócę momenta okropnej niepewności, w której kilka miesięcy przeżyć wypadało, przeglądał książkę Jabłonowski iż zostanie bez korzyści dla kraju. Nie zmordowany Wielchorski zaczął narzekać na słabość Ludwika, utracił zupełnie nadzieje, aby w publicznym charakterze uznanym został, i już ani ludzi się pozwalał, ażeby ubogi skarb wersalski potrzebne na dzielne powstanie narodu polskiego udzielił subsydy. Cnotliwy Roztworowski, nieomylny podział Polski przepowiedał; Pac, Bohusz, Lniński mieli powody wierzyć, że Austria wyda ich osoby. Wojska współdzielących się mocarstw coraz otwarciej nachodziły granicę; nie jeden z obrońców ojczyzny, pod obcy zabrany karabin, niewolę przyjąć musiał. Już nie nie

było świętém przed najeźdzcą; blizką eksplozyą groźną wszystkie okropne i ponure przepowiadały wrogi. W tém naszym konaniu zgłosił się książę Jabłonowski do jeneralności, już prawie niepotrzebną dłuższą swą bytność w Wiedniu przekładając. Odsunął się już wtenczas od pracy, gdy już mu nic czynić nie pozostało; ja tylko sam jeden do samego dna kielich goryczy wypić musiałem! O godzino okropna! w którą wezwany do l'abbé Gorgel, usłyszałem od niego niecofnięty wyrok: „Vôtre pays est partagé!“ Byłem w rozpaczy; wziął mnie do posła; zastałem go w kąpieli. Postrzegłem zbląkané oko i twarz zmienioną. Odezwał się do mnie: „nous sommes perdus!“ Mógł to do siebie niedoleżnik powiedzieć, bo mu dopiero z Paryża doniesiono, że Polska podzielona, tak pięknie interessów Francyi i naszych w Wiedniu pilnował! Pyta

się, gdzie marszalkowie? radził, abym ich kuryerem przestrzegł o nieszczęśliwym losie, i aby krajowi austryackiemu odtąd nieufali, aby wyjeżdżali; pytam dokąd?... do Bawaryi, do Monachium, odpowiada, — kazał sobie listę podać i z niej czyta: Pac, Ogiński, Bohusz tu do Wiednia niech się przebierają pod innemi nazwiskami, dam im schronienie i bezpieczeństwo w moim pałacu. Pac naprzykład, niech przyjedzie pod nazwiskiem barona Szeling; o takim powiem Kautitzowi Polaku, że jest moim przyjacielem i że mu u siebie dam schronienie i t. d. Dorozumiałem się, iż te osoby miał szczególnie sobie zalecone od ministra z Paryża. Bez stracenia czasu wysłałem Łukowicza do jeneralności, która już się była rozpierzchła. Jedni z Teszyna do Zielonny się przenieśli i doświadczali powszechnego prześladowania; inni wracali do domów. Prawie codzien-

nie byłem do posła wzywany, jeżeli jakich nowych nie mam wiadomości o osobach składających konfederacyą. Odpowiedziałem zawsze, że tylko smutne mnie dochodziły; zapalony był niewczesną zemstą ten leniwiec przeciw dworowi wiedeńskiemu, nie dla tego zapewne, iż się do rozbioru Polski przyłożył, ale że krok tak ważny, nad którym czuwać był wysłany, utaić mu umiano.

W takim tragiczném rozwiązaniu się rzeczy, któżby był mógł na początku sceny w roku 1769. powiedzieć, iż w tak wielkim narodzie, tak mała tylko częśćka uzbroi się do obrony egzystencyi swojej; że turecka potęga tak haniebnie zniesioną zostanie, że Francya, to pierwsze z mocarstw europejskich, na pośmiech się tylko w obronie Polski wystawi, że wszystkie ludy ścierpią niesłychany krok polityczny, że nakoniec, chociażby tylko handlowe zyski nie

obudzą Anglii i Holandyi. Tego zapewne żaden Polak spodziewać się nie mógł, a ten, który na zasłone nieczynności swojej (nie powiem zdrady) niepodobność dopięcia celu przekładał, zmyślał przed swymi nie-szczęśliwymi braćmi, zmyślał przed swoim sumnieniem, które mu zbrodnie opuszczonej obrony kraju wyrzucało.

Wkrótce potem przybiegł marszałek Pac do Wiednia, już jako nie-szczęśliwy tułacz i przez Łukowicza do mego mieszkania został wprowadzony. Uwolnijcie mnie od malowania obrazu naszego uściśnienia! — Pobiegłem zaraz do posła, tam marszałek d'Arencourt pokazał mi pokoje przygotowane dla barona Szeling. Zawiozłem go, a kardynał, uczyniwszy się umyślnie niewidzialnym, z nim tylko samym kilka godzin przepędził. Wiedziałem potem doskonale od sekretarza Gorgela, że

kardynał powziął dla marszałka szacunek. Pac nie miał koniecznie tój w oczy bijącój figury, otyły i nie bardzo wysoki, ale jak powiedziałem, tonu i charakteru słodyczą ujmował każdego. Tłómaczył się płynnie, logicznie i wyborną francuzczyzną. Przybył potem hetman wielki litewski, Ogiński; Lniński, marszałek pomorski; Bohusz, sekretarz jeneralny; Miączyński nieszczęśliwy i t. d.; wszystko się to prezentowało kardynałowi, który z wszystkimi Francuzami nie miał podziwienia nad wyborem ludzi, ich gorliwości i edukacją. Dał im nietylko kilka obiadów, ale nawet z przyjaźni umyślnie dla nas *assemblé* ułożył. Zapewniał wszystkich z żywością francuzką, że wyraźnie powiedział Kaunitzowi, że bawią u niego nieszczęśliwi Polacy, lepszego losu godni; że ufa, iż znajdą w jego domu zupełne bezpieczeństwo. Na co naturalnie nie mógł, jak tylko

pochlebnie mu odpowiedzieć. Te wszystkie grzeczności nie mogły nas z Francuzem pogodzić, lubo się zawsze do ogólnych jeszcze nadziei odwoływał: *le partage ne s'est fait, sans être l'occasion des querelles entre les partageurs.* Czytany był ustawicznie Rousseau: *vous ne sauriez empêcher, qu'ils ne vous engloutissent; faites au moins, qu'ils ne puissent vous digerer.*

Tymczasem zapewnione zostało schronienie dla jeneralności, to jest, niektórych osób do niej należących, w Monachium i tam téż się niezwłocznie udali. Kardynał dał zapewnienie osobiste Pacowi, iż jeżeli do kraju wrócić nie chce, w Strasburgu znajdzie zupełne bezpieczeństwo, i przygotowane dla siebie wygody — i słowa dotrzymał.

Nim nastął rozjazd, wymógł na mnie Pac z innymi, abym się do czasu niejakiego jeszcze w Wiedniu po-

został, dla korespondencyi i przeprowadzenia nieszczęśliwych, rozproszonych i błakających się rodaków. Nie mogłem im téj ostatniej odmówić usługi, a gdy marszałek księciu kardynałowi, potrzebę zostania się mego jeszcze na miejscu przełożył, książę potwierdził to owszem, dodając dla mnie słowa bardzo pochlebne. Nie potrzebował całe wasz ojciec jego zalety, ani jój nie cierpiał. Posiadałem całą ufność i serca wszystkich cnotliwych współziomków. Ani się tu rozwodzić będę, ile każdemu uczynilem przysług, ile do ostatniego momentu sprawie publicznej, w miarę mych sił służyłem. Mnie oddane były najważniejsze papiery, aż do bezpiecznego dalszego losu marszałków; mnie poruczono ocalenie różnych rzeczy ukrytych, mnie nakoniec pozostało się wydobyć zawikłane, jak to zwykle bywa w takim razie, okruchy subsydyów francuzkich, i niemi jadą-

cych do Bawaryi zasilać. Brea bankier, który nam zwykle wypłacał pieniądze, wyprowadzał się ze mną do posła, kładł swe rachunki, aby nasze zmazać. Trwało to długo, i nakoniec wydobylem jeszcze blisko dwadzieścia tysięcy czerwonych złotych, i te Pacowi z zgromadzonymi jeszcze w Monachium reprezentantami konfederacyi oddałem. Miałem je sam odwieść, i dzielić losy z wygnañcami, ale najtkliwsze listy ukochanej matki, która przy wkroczeniu już Prusaków w rozpaczę była, skłoniły mnie inaczej, albo raczej przyrodzenie kazalo mi być synem i wrócić do domu.

Upadły natenczas wszystkie nadzieje; sekretarz Gorgel powiedział mi, że się ich ambassada skończy, że kardynałowi wyrzucają pomyłki, dodając, że jednak cała wina była w słabości rządu i wyższości gabinetu wiedeńskiego, nad wersalskim;

że *duc* d'Aiguillon miał powiedzieć przed wysłanym na wybadanie gabinetu wersalskiego od Fryderyka panem Sandos, że los Polski całe Francyi nie zatrudnia. Zgoła nie miał zapóźno rozżalony Francuz, że Polacy żadnej nadziei mieć nie mogą, chyba w okolicznościach odległych i nieprzejrzanych.

Doniósłem to wszystko marszałkom, z których już każdy nie cofnięty czuł wyrok, i powszechnie powrot mój approbowali do matki.

Co się tyczy wydobytych pieniędzy, wyraźnie mi napisano, abym sobie przynajmniej tysiąc czerwonych złotych zatrzymał; ale téj ofiary nie przyjąłem, i zostawiwszy sobie, coby mi na drogę wypadalo, resztę odesłałem. Zaczekałem jeszcze w Wiedniu, czy pieniądze doszły. Znajdziecie w moich listach wyrazy Paca, który za rzadką cnotę biorąc

postępowanie moje, zadziwia się nad delikatnością moją.

Zapas mój do domu był tak szczupły i skąpy, że pod Lesznem wyboczyłem do pana Turno, stolnika poznańskiego, także będącego konsyliarzem w jeneralności, który mi dziesięciu czerwonych złotych pożyczył na dokończenie podróży do Pruss. Zapomniałem ja był o tym dłużku i stolnik nigdy mi go nie przypominał, dopiero po jego śmierci, już podobno w roku 1791., przysłanemu od pani stolnikowej z moją kartą strzelcowi te pieniądze oddałem.

Tak się ojca waszego skończyła epoka pierwsza kolei politycznej. Wyszedłem z niej z czystym sumieniem. Wewnętrzne przekonanie kazalo mi się lękać nawet pozoru egoizmu. Słuchałem stale powziętej nauki: „Nihil utile, nisi quod honestum; nihil miserum, quod non culpa contractum.“ — Ukochane dzieci! dla was piszę hi-

storią mego życia, w niém dla waszego serca zbierać macie naukę!

Przebierając się do domu matki, wstąpiłem po drodze do Welny, dóbr państwa Roztworowskich, gdzie już samego pana Roztworowskiego, starostę żytomierskiego, z Drezna przybyłego zastałem. Tam również byłem tak szczęśliwy widzieć pierwszy raz waszą matkę. Ztamtąd pojechałem do Margonina, dóbr państwa jeneralstwa Skórzewskich, gdzie przytomność panny Kunegundy Drwęskiej, przypomniała mi słodkie momenta w Berlinie. Sentymenta stale jęj dochowane radziły mi pozyskać jęj serce, ale pamięć na obowiązki synowskie kazala mi się wstrzymać, aż do widzenia się z ukochaną matką, która, będąc razem panią dożywotnią majątku, mogłaby sposobność do utrzymania siebie i żony odebrać. Panna Drwęska była, co do majątku, uboga zupełnie, tak jak cała familia Skórze-

wskich, których była siostrzenicą. Skórzewski jeden, potem kasztelan chelmiński, ożeniwszy się z bogatą Czapską z Prus, założył węgielny kamień bogactwa swój familii. Jenerał, co w Margoninie mieszkał, z chudego kapitana, cały swój majątek był winien swój bardzo bogatėj żonie z domu Ciecierskiėj. Siostry zaś tych Skórzewskich, z których i matka mój kochanki, można mówić, w ubogim były stanie, a brat Drwęski, pisarz poznański, przez ten urząd i bogate ożenienie się z Bielińską, znacznej doszedł z czasem fortuny. Kochałem się tylko w przymiotach, powiem, w piękności, nie pomnąc najmnieј na jėj majątek.

Po niejakiém zabawieniu w Margoninie, wróciłem do Bendomina, siedliska mych ojców i przy boku ukochanej matki spocząłem; ale już kraj znalazłem żalobą okryty. Zagarnięta cała prowincya pod panowanie króla

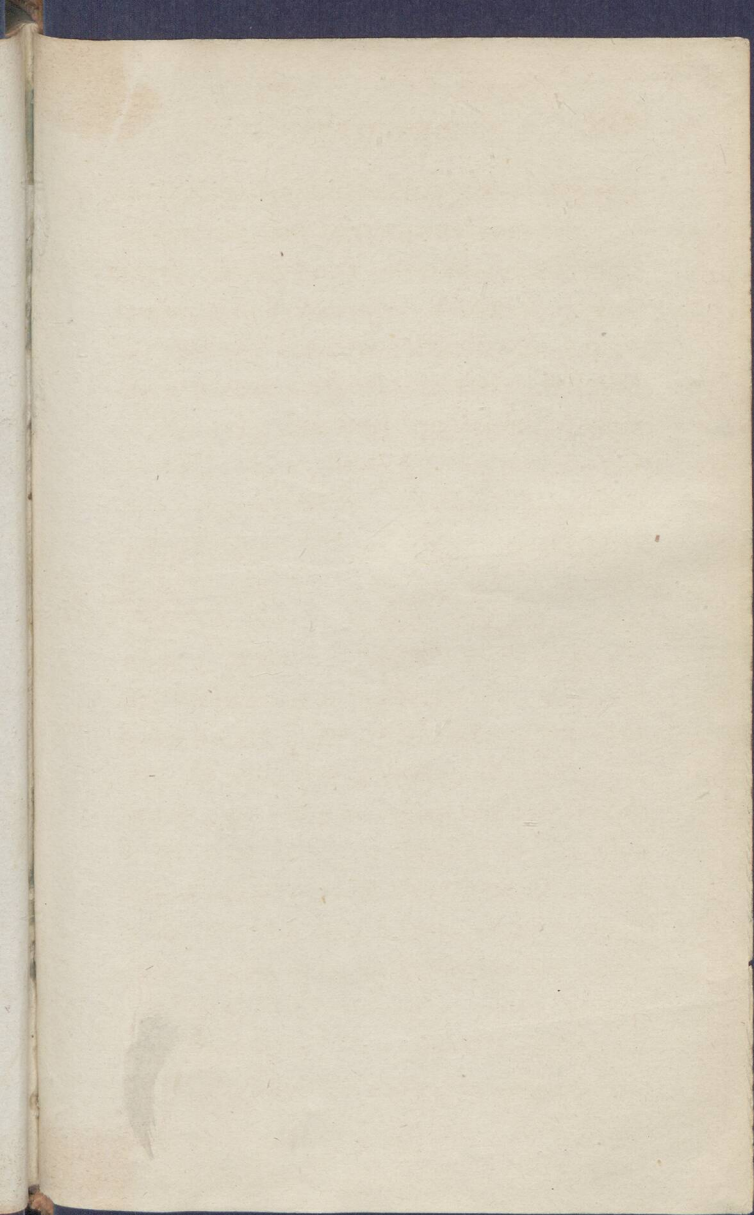
jmci pruskiego, oczekiwała z trwogą i płaczem nowego panowania skutków. Zbliżył się moment organizacyi kraju. Zamilczę różne odmiany, wspomnę tylko, co było najboleśniejszego dla Polaków: nowy rodzaj podatków, na którego układy rozesłani zostali po kraju konsyliarze wojenni, krygsraci. Miłym więc i z téj strony byłem gościem dla matki, nieumiejącej języka.

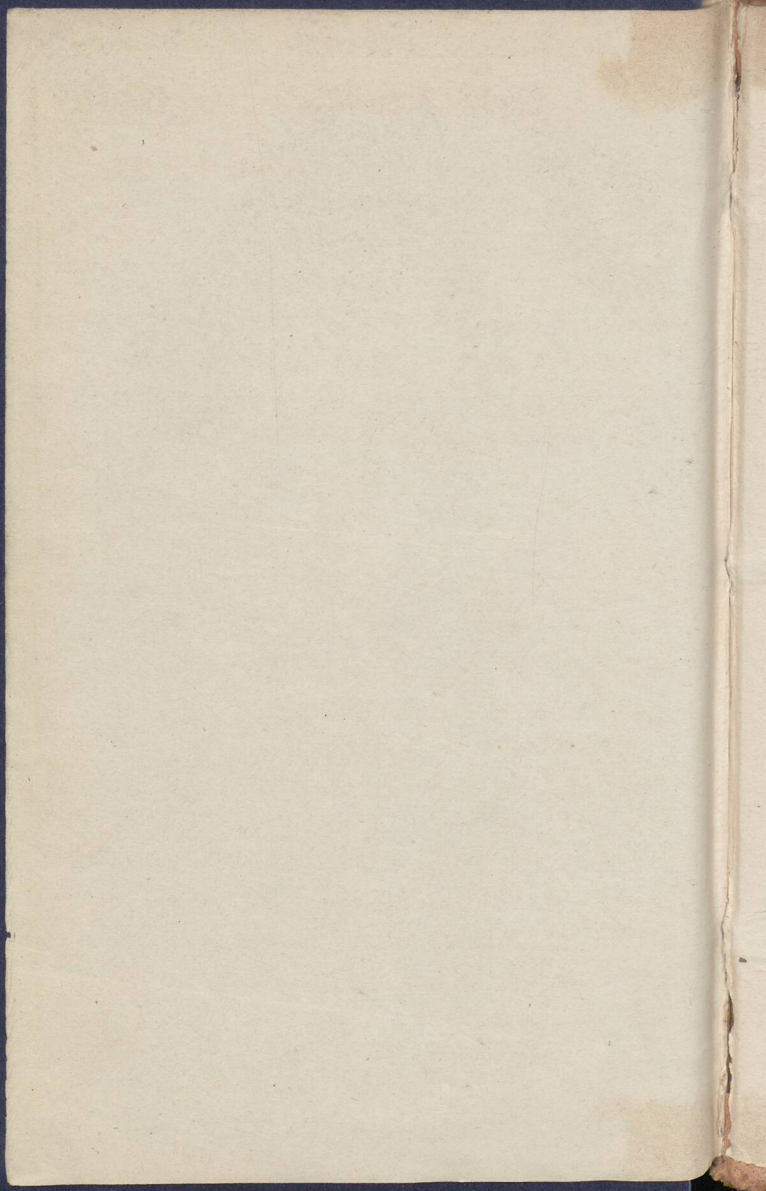
Do mego powiatu był przysłany niejaki krygsrat Leo z Królewca. Zajechałem mu był drogę u wuja Lnińskiego i do mego domu zaprosiłem. Wielce był kontent Niemiec, żem umiał jego język, żem widział różne kraje, że w mym domu zastał piękną bibliotekę i nieco obrazów, com sobie w Wiedniu kupił; także mały zbiór z historyi naturalnej nabyty jeszcze w Holandyi. Z takich powodów krygsrat Leo założył sobie w mym domu stacyą i w nim ekspe-

dyował wiele sąsiedzkiej szlachty ;
którym mogłem czynić usługi, czyni-
łem ile możności i na moje dobra
dość łaskawy podatek wyrobilem.
Z téj powziętej przyjaźni poszło, iż
odjeżdżającego musiałem jeszcze w
różne domy odprowadzić.

Koniec Tomu Czwartego.







Fp 56323, 25.

